MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 25. WARSZAWA, 16 CZERWCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

# IDEAŁ CYWILIZACYJNY DWORU POLSKIEGO

MARCIN BADENI, budując dla siebie piękny dwór w Bejscach (pińczowskie), kazał na jego frontonie dać napis: „Miły po pracy spoczynek" — i, zaiste, trudno o bardziej zwięzłe uchwycenie ideału cywilizacyjnego szlacheckiej wsi polskiej jak to równoczesne wskazanie na pracę i spokój.

Przedewszystkiem na pracę, bo bez niej niema ani cywilizacji, ani społeczeństwa, niema narodu i niema żadnego ideału, a tem mniej już cywilizacyjnego. Jest to więc składnik powszechny i tak podstawowy, że, choć to brzmi jak paradoks, dlatego właśnie nieistotny. To też w rozważaniach nad typem cywilizacji szlacheckiej na pierwszy plan wysuwa się problem umiłowania spokoju, co zresztą nie jest niczem innem jak tylko kwestją pewnego stosunku do pracy. Inaczej zresztą być nie może, bo różność i rozmaitość cywilizacyj polega li-tylko na rozmaitości ich stosunku do pracy.

Jeżeli człowiek pracuje, to robi to zawsze z jakąś myślą i z jakimś celem. Chce coś przez nią osiągnąć, dojść nią do czegoś. — I to właśnie, czemu praca ma służyć, lub do czego prowadzić, stanowi o sensie i rodzaju cywilizacji, — tworzy jej cechy. Taką myślą, gdy chodzi o dwór polski, była chęć urządzenia sobie życia po swojemu—zdobycia tego spokoju, o jakim mówi Badeni, przez poprzestanie na swojem. To była prawdziwa szlacheckość i pańskość, bo: „ten pan zdaniem mojem — kto przestał na swojem".

I tutaj, wchodząc odrazu *in medias res*, stwierdzić należy, że cywilizacja dworu polskiego jest cywilizacją statyczną, której zasadniczo obce są hasła postępu. Praca istnieje tu tylko po to, by dać możność spoczynku, możność egzystencji pięknej i w tem swojem pięknie niezmiennej. Tu nic się nie poprawia i nie zmienia, bo wszystko trwa wieki — jest to cywilizacja trwania. Jej myślą nie jest jakieś dorabianie się, jakiś rozrost, ale zdobycie należnego sobie miejsca i utrzymanie się na nim. Obce jej jest więc jakieś dążenie w nieskończoność, zna ona swoje granice i ich się trzyma.

Na tę stronę zagadnienia chciałbym specjalny nacisk położyć bo to jest właśnie punkt najbardziej tu drażliwy i stanowiący dla wielu osób prawdziwy kamień obrazy. Przecież tu właśnie się kryje cały sarmacki kwietyzm, cały rzekomy sybarytyzm dworu szlacheckiego — słowem to wszystko, co wydawało się przedziwnie wstrętnem i zacofanem w XIX stuleciu, a na co i dziś jeszcze (w znacznej mierze siłą inercji) się sarka, bolejąc nad brakiem przedsiębiorczości w naszym narodzie.

Otóż mam wrażenie że, rozdzieranie nad tem szat jest grubą pomyłką, że zachodzi tu pewne pomieszanie pojęć i pewien symplicyzm w rozumowaniu, — bo: po pierwsze — ideał spokoju nie wyklucza wcale przedsiębiorczości, a ideał niezmienności da się świetnie pogodzić z doskonałem. Sztuka antyczna, i dziś niedościgniona, nie wykazuje tej różnorodności stylów co nasza, właśnie dlatego, że starożytni odkrywszy piękno i majestat w kolumnie i kopule, nie szukali już lepszego i, nie goniąc za efekciarską oryginalnością i poprawianiem, byli na tyle mądrzy, że rozumieli niezmienność doskonałości. Piękno samo w sobie jest doskonałe, a co za tem idzie niezmienne i niedarmo Francuzi, najbardziej klasyczny z narodów, mówią, że „lepsze jest nieprzyjacielem dobrego".

Ta myśl tkwi właśnie głęboko i w filozofji polskiego dworu, który każdy, choćby najskromniejszy, kolumnadą swego ganku i tympanonem frontonu — wywodzi się wprost z Akropolu. I dlatego ten spoczynek to nic innego — jak owa harmonja starożytnych, ów szlachetny umiar, który tak cechuje życie dworu i umysły ludzi przez niego wychowanych. Spoczynek jaki ma dać praca— to odnalezienie swego miejsca w życiu i swego ideału — zrozumienie go i wytrwanie przy nim, tylko wtedy on jest możliwy.

Jak i samo pojęcie niezmienności — ten istotny tradycjonalizm dworu, który lubuje się

w tem, że „wszystko tak jak było“, — nie jest, ściśle biorąc, niczem zdrożnem, ale prostą wiernością dla wykształconego przez wieki typu życia, tak też i kwietyzm sarmacki nie jest bezczynnem opuszczeniem rąk i nie wyklucza trudu. Przeciwnie, idzie on po pracy, jako nagroda za nią. To właśnie wyraził w swoim aforyźmie Badeni. Tę samą myśl szerzej i piękniej przeprowadził w swojej safickiej odzie pod tytułem: „Mój los“, klasyczny poeta węgierski Daniel Berzsenyi (1776—1836). Wiersz ten w swojej filozofji życiowej jest tak głęboko zbliżony do polskiego sposobu myślenia, że pozwolę go sobie przytoczyć we własnym wolnym, a niestety także i nieudolnym przekładzie:

„Żagle zwinąłem i wylądowałem
Przetrwałem napór wrogiej wichrów siły
A w walce nigdy się nie załamałem.
Choć gromy biły.

— Teraz już pokój — okręt na kotwicy
I na podróże nie wyjdzie z przystani,
W tej cichej pragnę zostać okolicy
Z memi myślami.

Choć ziemie me nie tak pełne urody,
Jako Tarentu grunta iście pańskie,
I choć w drzew cieniu płyną zwykłe wody
A nie Tybrzańskie,

To mam winnicę i maleńkie pole,
Szczęście, swobodę w moim własnym domu
To starczy — i ja nie chcę na mą dolę
Skarżyć się komu.

Gdzie mnie poniosą moje przeznaczenia,
Póki mię nędza uciskać nie będzie,
Znajdę uroki dla mego istnienia
— Niebo jest wszędzie.

A jeśli ze mną zostanie Kamena
Ręka jej ześle mi błogosławieństwa
I tam gdzie ona — tam też będzie scena
Mojego szczęścia.

Czy na północy, gdzie lody i śniegi,
Czy na południu, gdzie przykry brak cienia
— To w miłe dla mnie, niegościnne brzegi
Postać Twa zmienia”.

Wiersz ten przytoczyłem i dlatego, że choć obcy, uwidocznia on jeszcze i inne oblicze sarmatyzmu, które w zwięzłej lokucji Badeniego jest trochę schowane; tam się go tylko domyślać można. — A mianowicie to głębokie przekonanie, że „szczęście jest tylko jedno — wielkiej ciszy i wielkiego kochania” (Sienkiewicz); — i drugie, że dla niego, jak wogóle dla każdego ideału, warto wiele poświęcić. I tu nasuwa mi się inny wiejski napis, młodszy znacznie od bejskiego, ale tym samym duchem tchnący, skoro jego autor zapewnia, że „nie pragnę zaszczytów, ni sławy — i szczęścia, złota mi brak, — lecz marzę, że los łaskawy — zostawi tu mej pracy znak“. — A więc praca, nie goniąca za zyskiem, ale mająca na celu realizację ideału, którym gdy chodzi o jednostkę jest szczęście w zaciszu, jakby na wzór tej węgierskiej piosenki, głoszącej w refrenie, że „Mojej żonki mała chatka droższa jest niż Buda-vár“ [1]).

Że taki ideał może się podobać to jasne. Zawsze znajdą się jednostki, które z charakteru i atawizmu będą się go trzymały. I zawsze ten ideał zostawi swój ślad w polskim narodowym charakterze; nawet największy radykał, czy demokrata, o ile tylko myśli po polsku, nie zdoła dworu usunąć z panteonu narodowego. Ale rodzi się inne pytanie — czy to właśnie jest dobrze?

Może to pytanie jest zbędne, bo z tego, co napisałem, aż za dobrze wynika, że dla mnie to pytanie nie istnieje, że mogę dać na nie tylko jedną odpowiedź. Ale wiem, że są tacy, co myślą inaczej i tacy, co wierzą, że przyszłość ten ideał usunie. Zresztą zaślepienie nie jest dobrą obroną, a droga bezkrytycznego uwielbienia najgorszą drogą, warto więc postawić to pytanie.

Stoimy dziś na rozdrożu, szuka się nowej cywilizacji, nowych haseł. Wielki przewrót się zaczął i w tym przewrocie łamie się wszystko, co dotychczas uważaliśmy za trwałe. Dróg wyjścia jest parę i o każdej się myśli, ale jedna z nich tylko jest prawdziwa — katolicka i narodowa. Na tę drogę wejść więc trzeba, a wobec tego, czy dobrze jest bronić starego ideału?

Otóż oczywiście, że bronić, może jeszcze w sensie bezwzględnej nienaruszalności, jest źle, bo o co innego chodzi. Chodzi o sprawdzenie, czy ten ideał da się z nowym pogodzić — o jego dopasowanie do nowych haseł. O ile obrona czegoś, co jest nie w duchu czasu, jakieś „okopy Świętej Trójcy”, choćby nie wiem jak ideowe, są zawsze zgóry już placówką przegraną, — o tyle ta druga kampanja jest całkiem do wygrania i obowiązkiem wszystkich, którym na sercu leży sprawa ideałów dworu polskiego, jest jej wygranie. Wszystko bowiem, co głosił dwór polski, jest całkowicie katolickie i dziś, gdy wali się antykatolicka ekonomja i antykatolicka koncepcja życia (jeśliby się przy tem upierać, trzebaby zajść do komunizmu), jego zasady życiowe powinny właśnie dojść do głosu. Tak samo prawdziwie narodowy ruch polski nie może się wyrzec tego, co przez wieki było właśnie Polską. Gdyby tak zrobił, nie byłby mimo wszelkich swoich zapewnień, narodowym ruchem polskim. A jeśli nawet coś w filozofji polskiego dworu było kiedyś sybarystyczne i kwietystyczne [2]) — to dziś, gdy minęły tamte czasy i przyszły nowe warunki i nowe konieczności — na te cechy ujemne miejsc nie ma, a zostanie się tylko to, co wielkie i nieśmiertelne: — uskrzydlony ideał, który we wszystkiem widzi poezję i który jak może stara się realizować nakaz ewangelji (Mat. VI, 33): „szukajcież tedy naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego: a to wszystko będzie wam przydane”.

KAROL STEFAN FRYCZ

[1]) Mimowoli wprost nasuwa się tu dygresja: — porównanie tej piosenki z inną o identycznej treści, jaką jest słynna piosenka z moljerowskiego „Mizantropa” (Alcest krytykuje sonet Oronta). I tu i tam napozór to samo, ale charakter narodowy na wszystkiem wyciska piętno. Francuskiej wersji brak tego, co cechuje węgierską, zbliżając ją tem samem do polskiej — położenia nacisku na skromne szczęście na uboczu. Drobiazg to niby, ale jakże charakterystyczny. Zresztą, dalsze rozważania na ten temat zadaleko by nas zaprowadziły.

[2]) Sprawa tych wad jest sprawą otwartą, zarzutów było wiele, ale i wiele przesady. W każdym razie należy zaznaczyć, że mimo wszelkich prawdziwych i nieprawdziwych plam na swojem słońcu — dwór polski miał zawsze jedno: — był nawet w swoich wadach piękny, nie było w nim nic z poziomości i prozy. Weźmy choćby dla przykładu — ten ideał szczęścia na uboczu — występuje on i u Niemców, ale niema u nich w nim nic z polskiego wdzięku. Jego wizja malarska, nawet tak świetna jak Kaulbachowska „Fryderyka“ (cykl ilustracyj do Goethego), w prawdziwym Polaku, choćby o nie wiem jak silnej przymieszce krwi niemieckiej — budzi poprostu niesmak swoją poziomością i płaskością — jest zanadto „mieszczańska”.

# POŻAR CZY OŚWIATA?

(Ciąg dalszy)

TO, co się nazywa oświatą powszechną, jest jednym z głównych czynników, niszczących autonomję człowieka prostego. Bo oświata powszechna daje znajomość pisma, a pismo—potęga istniejąca od prawieków—jest chyba najsilniejszym środkiem, pozbawiającym człowieka jego samoistności duchowej. Mniemamy też, że inne podobne środki, jak kino, albo urodzone w ostatnich dniach Europy nowe monstrum — radjo, siłą swoją narzucania ludziom idej i suggestyj zbiorowych jednak nie dorównują pismu. Prastary ten środek odegrywa w dziejach świata nadzwyczajną rolę. Procesy świadomości bowiem, czyli to, co się rozumie pod pojęciem człowiek w wielkiem znaczeniu tego słowa, dążą nieodparcie do tego, by się uzewnętrznić w mowę, tak jak kiełek musi wyrosnąć i zjawić się na powierzchni ziemi z leżącego pod nim w ukryciu ziarna, podobnie też zaraz w następnym etapie, w drugiej kolejce, z prawie taką samą koniecznością zjawia się też i potrzeba, by to myślenie zgłoszone, wymowne, ale nietrwałe niby mgła poranna utrwalić i zahaczyć za pomocą pisma. Mowa jest naturalnie większą rzeczą niż pismo i bez niej nawet trudno sobie wyobrazić istnienie tego, cośmy nazwali: człowiek w wielkiem znaczeniu tego słowa, ale mowa jako środek udzielania się człowieka człowiekowi jest raczej, powiedzielibyśmy, czynnikiem kameralnym i działanie jej ogranicza się zazwyczaj do danego miejsca, pozostaje w danem środowisku i z trudnością poza nie wykracza, bo widać przecie, że rzecz powiedziana jest źle przenośna, ulega z łatwością przeinaczeniu, przekręceniu i rozprasza się szybko po drodze, niby energja cieplna w przestrzeni, gdy tymczasem pismo, choć suche i płaskie, jest twarde i niezmienne jak zimne żelazo, a palące i przeżerające jak żelazo rozżarzone.

W mowie dają się przenieść tylko najkrótsze i najprostsze rzeczy, a więc gadki, przysłowia. powiedzonka, krótkie wierszyki z rymami, ułatwiającemi ich zapamiętanie, modlitwy najpowszedniejsze, te najkonieczniejsze, które dzień w dzień się powtarza, a w piśmie przenosi się cała olbrzymia reszta myśli ludzkiej.

Lecz pismo dzisiaj jest jeszcze zgoła czemś innem. Druk Gutenberga i monstrualna sprawność maszyny rotacyjnej z jednej strony, oraz z drugiej strony nacisk, wywierany na masy ludzkie przez warstwy rządzące jakoteż i przez warunki nowoczesnego bytowania, doprowadził do zjawiska niebywałego dotąd nigdy jeszcze, którego oto jesteśmy świadkami, a mianowicie: już nietylko miljony znają pismo, ale bez wielkiej przesady glob ziemski stał się potworem czytającym.

Nikt tego zmienić nie może, jest to fakt dziejowy dokonany, niema sposobu cofnąć go, podobnie jak nie można wpływać na zjawiska astronomiczne, na bieg gwiazd naprzykład, albo planet. Zresztą i praktycznie istnieć społeczeństwo analfabetów nie jest już dzisiaj w stanie, nie może ono konkurować z narodami „oświeconemi" ani w czasie pokoju, ani prowadzić wojny nowoczesnej i jest skazane na zagładę. Byłoby więc szaleństwem kasować oświatę powszechną. Zresztą ma przecież ona naturalnie i swoje dobre strony.

Jednak gdy myślimy o niej, dalecy jesteśmy od entuzjazmu, który ożywiał szlachetnych członków Komisji Edukacyjnej i ożywia dzisiaj ludzi oddanych jej tradycjom.

Jedno uzasadnienie naszego sceptycyzmu zawarte jest w poprzednich rozważaniach, które miały wykazać, że człowiek prosty jest w swoim rodzaju czemś doskonałem i powinien korzystać z pewnej autonomji i stanowić w narodzie jakgdyby ugór nietknięty.

Drugie uzasadnienie przytaczamy teraz, a polega ono na bezpośredniej krytyce oświaty dzisiejszej, która, naszem zdaniem, ma wielkie braki. Krytykę tę opieramy na krytyce wiedzy i nauki nowoczesnej, bo szkoła ludowa nie jest niczem innem jak tylko tej nauki odbiciem, zmniejszonem odbiciem.

I oto wiedza dzisiejsza, pomimo jej licznych i pożytecznych odkryć i wynalazków, niesie w sobie niestety bezwzględną, kardynalną wadę, a mianowicie: jest idealnie... bezideowa... Przecież nikt nie zaprzeczy, że nauka wszędzie tam, gdzie chodzi o najważniejsze wewnętrzne interesy człowieka, o wyznaczenie mu prawdziwej roli jego we wszechświecie, nietylko wykazuje kompletną niezaradność, ale nawet i afiszuje się swojem *désintéressement*, a wszystkie wysiłki swoje i talenty skierowuje wyłącznie na wykrywanie różnych, niezależnych od siebie nowinek naukowych, które, choć frapujące i fascynujące, nie dają żadnej syntezy i nie trzymają się na żadnym wspólnym kręgosłupie. I jeżeli zapytać dzisiejszego uczonego, dla czego pracuje, to otrzymamy zazwyczaj szablonową i nadzwyczajnie niezadowalającą odpowiedź: dla nauki[1]).

Na uniwersytetach widzimy liczne i rozmaite katedry, ale na żadnym z nich niema wydziału najważniejszego, któryby jedynie uzasadniał istnienie tamtych wszystkich wydziałów, a któryby powinien nosić tytuł: „wydział mądrości ogólnej". Takim wydziałem „ogólnym", omawiającym najistotniejsze interesy człowieka, musiałby być *de facto* wydział teologiczny, ale wydział ten dzisiaj jest z pośród reszty katedr najzupełniej wydzielony i wydzielony nie w mniejszym stopniu, ale jeszcze chyba w znacznie większym, niż inne wydziały uniwersyteckie, który jest na uniwersytecie przychodniem tylko i bynajmniej nie ma ani odwagi, ani powagi dostatecznej, żeby sięgnąć ręką

[1]) „Nauka dla nauki" jest podobną anomalją jak i „Sztuka dla sztuki". Ale z pewnym ryzykiem można powiedzieć, że, praktycznie biorąc, sztuka, a zwłaszcza plastyka jest jeszcze bardziej uzależniona od owych „głębszych interesów człowieka". Spostrzegłszy to, łatwo pojmiemy, że stan bezpański, któremu podlega równie dobrze nauka jak też i sztuka dzisiejsza, gorzej daje się we znaki tej ostatniej i dzięki temu artyści, cierpiący z powodu paraliżu, który nieodwołalnie ogarnia już wszelkie ich działanie, bliżsi są dokonania wielkich przeznaczeń. Piszę o tem w artykule poprzednim „O niewolę sztuki".

i podporządkować sobie świeckie nauki i umiejętności, nadać im jakąś treść wspólną, jakąś rację bytu, uzależnioną od głębszych i najważniejszych racyj człowieka wewnętrznych, a zamiast tego zaczaił się tylko skromnie w swoim kąciku, starając się niczem nikogo nie zgorszyć i nie urazić, wdzięczny za gościnę, jakiej mu nauka raczyła łaskawie na swojem terytorjum udzielić i nawet dumny (!) z tego, że potraktowano go z nią narówni. Kształcenie ogólne oddane jest dzisiaj szkolnictwu średniemu, szkoły zaś wyższe przeznaczone są wyłącznie do kształcenia ludzi w poszczególnych specjalnościach, ale przecież napewno szczytem wiedzy i mądrości nie jest żadna specjalność i wobec tego zapytujemy: gdzie jest ta szkoła najwyższa, gdzie się tej mądrości najogólniejszej uczy, albo chociażby próbuje uczyć?

Jednem słowem, wiedza dzisiejsza to encyklopedja najrozmaitszych, niczem nie związanych z sobą nowinek i umiejętności, skarłowaciałych nawet niejednokrotnie dzięki nadmiernej specjalizacji. Nie bez związku z tą rozwijającą się gwałtownie specjalizacją, uniemożliwiającą już dzisiaj prawie znalezienie jakiegoś wspólnego mianownika kulturalnego dla ludzi pracujących w różnych dziedzinach duchowych, jest i szybko postępująca metamorfoza duszy nowoczesnego inteligenta, który w przeciągu XIX stulecia przemienił się, jak powiedział Roman Dmowski, z typu wieszcza, poety i filozofa na typ komiwojażera. W swoim czasie taka kompletna wolność i bezpańskość nauki miały rację bytu, bo umożliwiły jej doskonałe rozwinięcie się, dzisiaj natomiast tego rodzaju ujęcie nauki, która rozwinęła się aż z niebezpieczeństwem dla człowieka i potworzyła niezliczone labirynty i zakamarki najrozmaitszych karykaturalnych poprostu specjalności, których ogarnąć chociażby w przybliżeniu nie są w stanie nawet najsilniejsze umysły, należy już uznać za anachronizm. I naszem zdaniem, utworzenie w narodzie jakiejś centrali duchowej, w którejby się jednoczyły wysiłki wszystkich artystów i uczonych, jest już dzisiaj rzeczą nietylko konieczną, ale i najzupełniej konkretną i wykonalną [2]). Twierdzimy też z przekonaniem, że prawda Kopernika o krążeniu ziemi dookoła słońca, prawda, od której, można powiedzieć, rozpoczęła się nowożytna era ludzkości, nie ma żadnego znaczenia i nie jest nawet ani pięciu groszy warta, jeśli nie jest poprzedzona ważniejszą od niej wiedzą, i ogólniejszą od niej wiedzą — i od niej uzależniona.

Nakoniec więc krytyka wiedzy i nauki dzisiejszej sprowadza się do twierdzenia, że nie dają one ujęcia najważniejszych rzeczy i zagadnień, nie budują syntetycznego światopoglądu i nie dają podstaw duchowo-moralnych. I oto zupełnie taką samą wadę ma i szkoła ludowa, która naucza rozmaitych umiejętności zupełnie powierzchownie, zewnętrznie, ale nie jest czynnikiem tworzącym człowieka [3]). Tak samo nauka dzisiejsza jak i szkoła daje uczącemu się różne środki i możliwości, ale nie poucza go, w jaki sposób i dlaczego ma je stosować. Nauczanie więc dzisiejsze podobne jest do pewnego stopnia do wsadzenia kogoś w szybko pędzący automobil, z zaniedbaniem dania mu wskazówek, tyczących się kierowania wozem.

Ale niedość tego jeszcze, bo krytykę szkoły ludowej trzeba posunąć jeszcze dalej. Bo szkoła jest nietylko zwyczajnie odbiciem nauki nowoczesnej, ale jest tej nauki odbiciem jeszcze w dość znacznym stopniu spaczonem. Bo chociaż nauka jako taka w zasadzie nic nie ma wspólnego z zagadnieniami religijnemi, jako zagadnieniami należącemi do innej zupełnie kategorji, to mimo to niejednokrotnie się zdarza, że popularyzatorzy tej nauki, wulgaryzatorzy jej, którzy niejednokrotnie właśnie nie są prawdziwymi uczonymi, a bardzo często ludźmi słabo myślącymi, albo i zgoła niedoukami, chętnie próbują zaczepiać religję, podważają jej dogmaty i jej zasady moralne. W rezultacie więc szkoła ludowa (jakoteż i całość aparatu oświatowego), przez wpływ tych wulgaryzatorów, których jest, rzecz prosta, zawsze więcej na świecie, niż prawdziwych uczonych, nietylko nie daje uczącemu się żywych podstaw duchowych i moralnych, jak już powiedzieliśmy, ale jest jeszcze często czynnikiem wywracającym reguły i dogmaty moralności tradycyjnej, na których przecież jedynie jeszcze jakoś trzyma się cała nasza Europa. A nauka religji? Nauka religji w szkole ludowej bynajmniej nie rządzi całością wychowywania i kształcenia dziecka, ale jest w niej akurat takim samym przychodniem, jak i wydział teologiczny na uniwersytetach, udzielono jej na odczepnego parę godzin tygodniowo, nie zabezpieczając jej nawet od często zdarzających się, równie „zwycięskich” zazwyczaj, jak i gorszących ataków ze strony nauczyciela przyrody.

A jeśli tedy cały artykuł niniejszy postawił sobie za zadanie,—ile można—objaśnić, jak wielkie cnoty i zalety posiada człowiek prosty i że ma on nawet pewną wyższość w porównaniu z klasami rządzącemi, nawet w najlepszych, jak się to mówi, najzdrowszych epokach i że jest wreszcie tym jedynym korzeniem w narodzie, łączącym go niejako z mądrością, powiedzmy, realizmu ziemskiego, łączącym go ze świętą prawie tajemnicą życiodajnej Ceres i jednocześnie jest dostarczycielem owego pierwiastka ludowego, czyli owej zbiorowej mądrości i doskonałości, równie dla życia całości narodu potrzebnej, jak i chleb, którego ten prostak dostarcza, tej elementarnej mądrości i doskonałości, opartej na cnocie pokory, tak łatwej i tak naturalnej dla ludzi maluczkich, a tak niedostępnej dla ludzi-panów, to nietrudno zrozumieć, jak wielką krzywdą i niebezpieczeństwem może być i jest dla niego i dla całości narodu dzisiejsza oświata powszechna. Bo jeśli już przyjmiemy, że nawet w najlepszych epokach, to znaczy wówczas, gdy warstwa rządząca jest naprawdę scalona w sobie i tworzy naprawdę jakąś zupełnie konkretną i rzeczywistą pozycję duchową na świecie, że i wówczas też człowiek prosty musi zachować w pewnych granicach swoją autonomję, to jakżeż skromnym i oględnym trzeba być dzisiaj w narzucaniu się szerokim warstwom ludności sobą jakoteż i swoją

[2]) Zagadnienie to dzisiaj dopiero stało się paląco-aktualne. Bo w wieku XIX-ym Europa miała jeszcze t. zw. salon, który przecież jednak był terenem spotykania się z sobą artystów, poetów, uczonych jakoteż i polityków, dzisiejszy zaś odpowiednik salonu, którym jest dancing i kawiarnia, spełnia rolę miejsca schadzek jedynie dla spekulantów i czarnej giełdy.

[3]) Nie trzeba tu chyba dodawać, że nie jest takim czynnikiem i t. zw. wychowanie państwowe, które w rzeczywistości sprowadza się do wciągania dzieci w różne niepra- wości polityki bieżącej i do rozgrywek partyjnych starszego pokolenia, jest jednem z najszpetniejszych zjawisk czasów powojennych i do reszty podkopuje powagę szkolnictwa.

fragmentaryczną nauką dzisiejszą. I dodać też trzeba, że największa cnota i klejnot prostaka, czyli pokora, od czego zresztą rozpoczęliśmy nasze rozmyślanie, może jeszcze w tym wypadku przyśpieszyć jego klęskę, czyniąc z niego istotę powolną i posłuszną i nieobronną wobec najgorszych wpływów. Bo i doskonałość niezawsze idzie w parze ze zdolnością obronną przeciwko zepsuciu. Dziecko np. jest niewinne i doskonałe, ale nie ma siły obronnej i musi być chronione przed nieczystością świata. Tak samo też wiele ludów egzotycznych, pierwotnych i w swoim rodzaju doskonałych odrazu zdegenerowało i umarło przy zetknięciu się z Europą i jej nieprawością. Kwiat jest doskonały, a jednak nie ma możności obronić się i spada odrazu, dotknięty kosą.

Jest prawo ogólne, obowiązujące zawsze od początku do końca świata, które mówi, że zdobywanie wiedzy musi iść w parze z rozwijaniem się człowieka duchowem i moralnem, w przeciwnym bowiem razie może ono okazać się złem, a nie dobrem[4]), a narzucenie wiedzy szerokim masom ludzkim, bez dania im jednocześnie odpowiedniej przeciwwagi moralnej — wydaje mi się — musi doprowadzić do katastrofy. Narzucona dziś miljonom wiedza bez żadnej przeciwwagi, narzucona miljonom w tak gwałtowny, arbitralny, tyrański sposób przez przymusowe narzucenie im znajomości pisma, tego najpotężniejszego środka poznania, a wzmocnionego jeszcze wynalazkiem druku i nowoczesnych maszyn drukarskich, skonstruowanych geniuszem sprytu i poruszanych żądzą zysku, zalewających dzień w dzień całą kulę ziemską nieprzebraną ilością tanich, dostępnych, docierających wszędzie, do najbardziej świętego zacisza książek i gazet, musi — jak sądzę — doprowadzić do katastrofy.

(Dok. nast.) LEON MACIAŃSKI

[4]) Kto wie nawet, czy pilne przestrzeganie tajemności wiedzy przez rządzące kasty kapłanów, z czem często spotykamy się w historji ludzkości, nie wynikało właśnie z tego głębszego rozumienia jej znaczenia i z obawy przed jej wulgaryzacją, a nie z chęci jedynie zachowania jej dla siebie jako środka dla utrzymania władzy, jak to prostolinijnie tłumaczą dzisiejsi uczeni.

Zresztą przecie i wszechświat tak jest zbudowany, że człowiek nie ma bezpośrednio dostępu do jego tajemnic, a udziela się mu ich potrochu, dawkami i iść on musi ku nim długą i ciężką drogą, na której tymczasem hartuje się i doskonali.

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

# SPRAWY MORSKIE ZA ZYGMUNTA III

Zygmunt III przybywał do Polski witany przez cały naród gorącem sercem, jako Jagiellończyk po kądzieli, spadkobierca sławy swego wuja Zygmunta Augusta i przyszły twórca unji między Polską a Szwecją. Wspomnienia horodelskie z czasów Jagiełły chętnie wzmacniano w społeczeństwie, wspomnienie Unji Lubelskiej było świeże, ludzie pamiętali o prośbach Pomorza za Kazimierza Jagiellończyka, o łatwem i dobrowolnem przyłączeniu Inflant i Kurlandji. Połączenie się ze Szwecją, scementowane wspólnem niebezpieczeństwem ze strony Moskwy, wydawało się łatwe i pewne. Wszystkie te atoli nadzieje rozwiał, niestety, Zygmunt III.

Był to człowiek dobry, lecz niezbyt inteligentny, obdarzony natomiast wielkim uporem. Ciężkie przejścia rodzinne, jakie przeżył w dzieciństwie, spędzonem w więzieniu grypsholmskiem, ostry i gwałtowny charakter ojca, który go policzkował z lada powodu, a wreszcie ustawiczne szpiegostwo otoczenia, donoszącego o wszystkiem to stryjowi Erykowi XIV, który trzymał całą rodzinę braterską w grypsholmskim zamku, to ojcu, to stryjowi, księciu Karolowi Sudermańskiemu, wyrobiły w młodym Wazie charakter posępny, podejrzliwy i zamknięty w sobie. Całą pociechę znajdywał on w modlitwie, z którą się musiał również taić, jako katolik w ogarniętej ruchem reformacyjnym Szwecji. Stąd Zygmunt Waza stał się żarliwym wyznawcą Kościoła katolickiego i oddanym bez zastrzeżeń kurji rzymskiej. Dla Kościoła był on gotów poświęcić wszystko, za co ganić go nie można, lecz, niestety, jako człowiek ograniczony i uparty, umiał tylko wszystko poświęcać, a niczego nie potrafił osiągnąć. Miał on dwie myśli przewodnie: utrzymać się na tronie szwedzkim i nawrócić Szwecję na łono Kościoła katolickiego. Tron ten utracił i Szwecji nie nawrócił, natomiast Polskę, która go powołała na stolec wawelski, traktował jako dźwignię do osiągnięcia Sztokholmu i wytępienia nowinek reformacyjnych na półwyspie Skandynawskim, wtrącił w wir wojen i wypaczył całą ideję jagiellońską. Całe czterdziestopięcioletnie rządy Zygmunta III w Polsce to jeden szereg usiłowań, mających na celu być królem szwedzkim, a znów całe dwunastoletnie panowanie Zygmunta III w Szwecji to ustawiczne próby nawracania Szwedów na religję katolicką. W wyniku, Polacy mieli do króla żal, że ich traktował za narzędzie, a Szwedzi stracili do niego serce, że szedł wbrew całemu narodowi.

Tron sztokholmski i katolicyzm, stanowiąc alfę i omegę dążeń Zygmunta III, pociągnęły go przez kurję rzymską ku dworowi wiedeńskiemu i sprzęgły z polityką Habsburgów. Dla cesarstwa niemieckiego rozpętał Zygmunt III wojnę z potęgą turecką, czego tak się wystrzegali ostatni Jagiellonowie, dla cesarstwa niemieckiego utracił Zygmunt III świetną sposobność stworzenia sekundogenitury na carskim Kremlu i dla cesarstwa niemieckiego wyrzekł się pewnego już przyłączenia Prus Książęcych do Rzeczypospolitej. Były to winy ze strony wybrańca narodu ciężkie i, jak się okazało później, niepowetowane.

Zygmunt III wstąpił na tron, mając spokój na wszystkich granicach, a oczy narodu utkwione w Bałtyk. Wszyscy oczekiwali pierwszych kroków, zmierzających do unji polsko-szwedzkiej, a tymczasem ujrzeli przedewszystkiem zwolnienie z aresztu w Krasnymstawie wziętego do niewoli pod Byczyną pretendenta habsburskiego, arcyksięcia Maksymiljana, a następnie kolejne zaślubiny dwu arcyksiężniczek wiedeńskich: Anny i Konstan-

cji. Wpływy niemieckie odrazu wzięły górę na królewskim dworze. Król przystąpił odrazu do załatwiania spraw szwedzkich, lecz do załatwiania ich w swoisty sposób. Między Polską a Szwecją było słabe nieporozumienie, dotyczące spuścizny po Kawalerach Mieczowych, Estonji. Częściowo zajmowały ją garnizony polskie (w zachodniej części), a częściowo szwedzkie (we wschodniej). Polska żądała od króla uregulowania tej kwestji na swoją korzyść, a Jan III szwedzki, wysyłając Zygmunta za morze na objęcie tronu Jagiellonów, wymógł na nim przysięgę, że nie naruszy przy załatwianiu sprawy estońskiej interesów szwedzkich. Senat i sejm polski sprolongował zagadnienie estońskie aż do śmierci Jana III, przewidując, że Zygmuntowi, jako monarsze i w Krakowie i w Sztokholmie, będzie łatwiej kwestję tę rozstrzygnąć samemu. Tymczasem dwukrotne podróże, jakie odbywał Zygmunt III do Sztokholmu po śmierci ojca, która nastąpiła w 1592 r., wykazały dowodnie, że panowanie jego w Szwecji opierało się na bardzo kruchych podstawach. Główną rolę odgrywała tutaj nieprzeparta chęć Zygmunta do krzewienia z powrotem katolicyzmu, co wyzyskiwał bardzo umiejętnie na swoją korzyść książę Karol Sudermański, stryj królewski, sprawujący urząd regenta. Pierwsza podróż (1593 r.), odbyta na eskadrze szwedzkiej, złożonej z 40 okrętów, zaznaczyła się koronacją na króla szwedzkiego, lecz i oddaniem po dwuletnim pobycie rządów w ręce księcia Karola, jako regenta.

Zygmunt III, pomimo uroczystej koronacji, czuł się w Szwecji tak niepewnie, że już w zimie 1594 r. wysłał wojewodzica malborskiego, Jana Weyhera z poleceniem przysłania na wiosnę posiłków wojskowych. Posiłki te, w ilości 3.000 ludzi pod komendą wojewody chełmińskiego Ernesta Weyhera, zawinęły na wynajętych w Gdańsku transportowcach do Sztokholmu w ostatnich dniach czerwca 1595 r. i pod ich eskortą wrócił monarcha do Polski. Druga podróż zakończyła się katastrofalnie. W Szwecji powstawał coraz większy ferment, podsycany przez regenta, i Zygmunt III-ci, chcąc już ratować zagrożony tron, ruszył w 1598 r. z 4.000 ludzi do Sztokholmu. Przewóz odbywał się na 60 jednostkach, częściowo królewskich z floty szwedzkiej, częściowo zafrachtowanych w Gdańsku u armatorów duńskich, holenderskich, gdańskich i szkockich. Naczelną komendę nad wojskiem lądowem miał wojewoda inflancki Jerzy Farensbach, a nad flotą — admirał szwedzki Stenno Banner. W sierpniu eskadra odkotwiczyła z Gdańska i udała się do Szwecji. Początkowo sprawy szły dobrze, bo Zygmunt III zajął bez bitwy najważniejszy szwedzki port wojenny Kalmar, lecz potem eskadrę rozbiły burze na wysokości portu Stegeborg, a oddziały Zygmuntowe poniosły klęskę pod Skangebro. Monarcha musiał podpisać upokorzające warunki pokojowe z uznanym znów przez siebie za regenta księciem Karolem Sudermańskim i w październiku wrócił do Polski, zostawiając jedynie w Kalmarze garnizon pod dowództwem Wacława Bekiesza. Garnizon ten, oblężony przez księcia Karola, musiał się poddać po sześciu miesiącach wobec wyczerpania żywności. W krótkim czasie sejm szwedzki wypowiedział Zygmuntowi III posłuszeństwo, złożył go z tronu i, nie doczekawszy się przybycia jego najstarszego syna, czteroletniego Władysława, ogłosił królem księcia-regenta Karola Sudermańskiego, który wstąpił na tron, jako Karol IX (1604 — 1611 r.). Unja polsko-szwedzka przestała istnieć, a z nią poszły do grobu wielkie myśli ostatniego Jagiellończyka.

Atoli Zygmunt III był uparty i nie wyrzekał się nigdy tego, co raz sobie postanowił. Po upokorzającym powrocie ze Szwecji w 1597 r. postanowił siłą zmusić kraj ojcowski do posłuszeństwa. Tej siły mogła mu tylko użyczyć Polska, która po staremu interesowała się Bałtykiem, ale niechętnie dawała się wciągać w dalekie boje po drugiej stronie morza. Zygmunt III, chcąc ją podżec, przelał na Rzeczpospolitą swe prawa do Estonji (1601 r.). O Estonję Polsce bardzo chodziło, jako o zaokrąglenie Inflant, i Batory swego czasu, zawierając pokój w Jamie Zapolskim, nastawał, ażeby Moskwa zrzekła się w s z e l k i c h pretensyj do c a ł y c h Inflant, włączając do tych Inflant zajętą napoły Estonję. O tę więc prowincję nadbałtycką zaczęła się pierwsza wojna polsko-szwedzka (1601—1611 r.).

Karol Sudermański, jeszcze jako regent, wpadł do Estonji zachodniej, zajętej przez wojska polskie, zajął ją po krótkim oporze, a potem zaczął wdzierać się do właściwych Inflant polskich. Zahamował jego zapędy sędziwy hetman Jan Zamoyski, a zadał mu ciężką klęskę pod Kircholmem (1605 r.) następca Zamoyskiego, hetman Jan Karol Chodkiewicz. Zwycięstwo to powstrzymało nacisk szwedzki, lecz polscy dowódcy z braku sił i pieniędzy zdołali walczyć tylko obronnie, utrzymując jedynie stan posiadania w Inflantach, a nie kusząc się nawet o działania zaczepne. W 1611 r., w związku ze śmiecią Karola Sudermańskiego nastąpił rozejm, zatwierdzający dotychczasowy stan posiadania obu stron.

Polska zaczęła się zwolna interesować coraz więcej kampanją, prowadzoną na dalekiej północy, bo przeczuwała niebezpieczeństwo, ciągnące od Szwecji, która tak niedawno miała być połączona z państwem Jagiellonów. Polsce przedewszystkiem chodziło o Rygę, dla której zaplecze stanowiła cała Litwa północna. Wszystkie przewidujące umysły, zarówno w wojsku, jak hetmani Jan Karol Chodkiewicz, Krzysztof książę Radziwiłł i Jan Zamoyski, jak i w sejmie, a nawet wśród rokoszan Zebrzydowskiego, widziały główną przyczynę przewlekłej kampanji inflanckiej w braku floty ze strony polskiej. Powszechna pretensja powstała o to do króla, który w zaprzysiężonych przez siebie *pacta*'ch *conventa*'ch obiecywał, że ...„własnym kosztem wystawi na użytek królestwa polskiego i wielkiego księstwa litewskiego flotę, należycie we wszystko zaopatrzoną". Zygmunt III chciał ją wystawić, posyłał na początku kampanji inflanckiej Samuela Łaskiego do Lubeki z poleceniem nabycia odpowiedniej ilości okrętów wojennych, potem zaczął formować w Gdańsku flotyllę kaperską, lecz na kupno zabrakło pieniędzy, a przeciwko kaprom powstali gdańszczanie, powołując się na dekret Batorego z 1585 r. o zwinięciu kaperstwa na zawsze. Najłatwiej byłoby uchwalić na sejmie odpowiednie podatki, ale posłowie, zrażeni do króla, który zawiódł pokładane w nim nadzieje, odrzucili przedłożony im pod tym względem projekt monarszy. Zawiodły także rachuby Jana Zamoyskiego na sformowanie floty wojennej przy pomocy lennych Prus Książęcych oraz głównych polskich miast portowych Gdańska i Rygi. Nie został też urzeczywistniony projekt, t. zw. „holenderski", o utworzeniu eskadry kosztem Prus Ksią-

żęcych (6 jednostek), Kurlandji (2), Gdańska (2), Elbląga (1) i Torunia (1), przyczem pozostałe 8 okrętów miały być wynajęte na rachunek podwyższonych ceł morskich. W rezultacie, po pierwszej wojnie polsko-szwedzkiej, Rzeczpospolita pozostała z zagrożonemi Inflantami, bez Estonji i bez marynarki wojennej. Natomiast Zygmunt III wdał się lekkomyślnie w sprawy moskiewskie i rozpętał wojnę turecką. I w jednym i w drugim wypadku poszedł tylko na rękę cesarzowi, który chętnie widział pożar na wschodniej granicy Rzeczypospolitej, odciągający uwagę ogółu polskiego od spraw europejskich, i dla którego była bardzo na rękę dywersja polska przeciwko Wysokiej Porcie, sadowiącej się coraz mocniej na Węgrzech.

(Dok. nast.) WITOLD HUBERT

NORWIDJANA I

# GARŚĆ LISTÓW C. NORWIDA

Podał STANISŁAW PIGOŃ (Dokończenie)

### 16. DO BRONISŁAWA ZALESKIEGO

[Paryż], sobota [10 listopada 1877]

Powolnie Twemu życzeniu odpisuję niezwłocznie, iż sprzedałem całą pierwszą Rapsodję i ustępy z innych za franków 200, to jest za tyle, ile za samą Rapsodję każdą ofiarował mi był hr. Działyński przez W-o Rustejkę, ofiarując najmniej za każdą dwieście. Zaś gdybym i tak nie sprzedał, zażądałbym tyleż po roku z powodu, iż w Paryżu tyleż oczekiwanie mię kosztuje. Racz łaskawie pamiętać, iż nie z mego ramienia zaprzątniętym tem jesteś.

Z przyjaźnią i smutkiem

C. Norwid

Kwitek, jaki zechcesz zredagować i przesłać, podpiszę. Sam nie umiałbym redagować.

Uwaga wydawcy: Niewątpliwie zmitygowawszy się po gwałtownym wybuchu, którego wyrazem był list poprzedni, nazajutrz Norwid odpowiedział Zaleskiemu poprostu na postawione zapytanie w sprawie należytości. Autograf listu w tymże zbiorze Bibl. Jag.

### 17. DO J. I. KRASZEWSKIEGO

[Czerwiec 1882]

Szanowny Panie i J. W. M-ści Dobr.

Wiadomo jest Sz. P., iż skoro kto jakie kilkadziesiąt lat ma zaszczyt być politycznym wygnańcem narodowym, jużci że udział biera we ważniejszych przynajmniej porach wyrabiania się opinji. Wygodniej zapewne byłoby tej jałowej pracy nie pełnić, lub mieć swój dziennik dla jakie stu przyjaciół (co, gdy będę miał środki, zrobię). Wygodniej, mówię, byłoby milczeć, zwłaszcza, iż nawet wydrukowanej już pracy jednego numeru nigdy redaktor nie przeszle autorowi, aby tenże mógł dla siebie myśli swej ciąg utrzymać bez płacenia jeszcze kopisty; słowem, że czas, pocztę, kopistę dając, trzeba nadto niczego, nawet grzeczności nie spodziewać się.

(Co do tej ostatniej zapewne JWPan Dobr. uważał, że Polacy wogóle nigdy za nic nie dziękują, i to nie może nawet być jeszcze inaczej dlatego, że pańszczyzna niedawno jest zniesiona i natury też same pozostały).

Mimo tych względów mam zaszczyt udzielić publiczności załączony artykuł *Żydy i mechesy*, który godzi się, aby pod te czasy publikowanym był. Ale gdzie? w którem z pism? Że wszelako mimo tego stanu publicystyki i właśnie z przyczyny takowego wydarza się zawsze feodalnie osobistość, wzięta zarówno przez wszystkie pisma, tedy proszę Onejże, to jest JWPana Dobr., ażeby raczył artykuł mój redakcji przez Niego wybranej załączyć, a to z przyczyny, iż treść pisma tego nawet z opóźnieniem o dzień jeden jakiej powiastki godzi się aby znaną była.

Z głębokiem poważaniem prawdziwy sługa

Cyprjan Norwid

1882, czerwca
Paris, rue du Chevalleret
nr. 119, Gar d'Yvres

[Adres]: Jaśnie Wielmożny Komandor J. I. Kraszewski.

Uwaga wydawcy: Aut. w Bibl. Jag., w zbiorze korespondencji Kraszewskiego. Wspomniany artykuł zachował się w papierach Kraszewskiego, a ogłoszony został dopiero w r. 1928 w *Ruchu Liter.*

### 18. DO

Nie odzywam się do redaktora dziennika, bo nie wierzę, aby dziś redaktor dziennika był w możności ważenia sobie ścisłych określeń, sądu sprawiedliwego i delikatności uczuć, — ale odzywam się do szlachcica polskiego herbu Prawdzic, prosząc, aby jedynie bez omyłek i bez opuszczeń żadnych, zupełnym także drukował podpisem. Inaczej albowiem nie miałoby to charakteru rzeczy z pióra mego wyszłych; a w doniesieniach, których ważność jest jedynie grą elementów, nie mogę i nie życzę sobie bierać udziału. Prawdzie zaś zawsze świadczyć gotów bywam.

Jeżeli więc można całe jak jest drukować, to wyręczycie tem późniejszych, co to powiedzieć muszą, jak będzie więcej serjo. Jeśli zaś nie można, to proszę autograf, jak jest, przesłać w kopercie Pani Łuszczewskiej, matce poetessy.

Łączę wyrazy przyjaźni

Cyprjan N.

Gdyby zaś to drukowane było, tedy proszę, aby wycięte z dziennika przesłane mi zostało i ufam delikatności Twej, a wiesz, że ufanie jest nie ubliżającym dziś hołdem.

Czekam. C. N.

Uwaga wydawcy: Aut. w Bibl. Jag. w zbiorze korespondencji Kraszewskiego. Trudno ustalić zarówno datę listu jak i jego adresata. Prawdzicem pieczętuje się jedna gałąź Zaleskich; czyżby list był do Antoniego Zaleskiego, malarza i przyjaciela Norwidowego?

## 2-a. DO TEOFILA LENARTOWICZA

[Koniec stycznia 1856]

Kochany Teofilu!

Oto odebrałem list Twój w mieszkaniu mojem nowem, rue de Chaillot 107, prawie-że na rogu Pól Elizejskich, z ogrodem i wanną marmurową z Grecji sprowadzoną przez ambasadora francuskiego — z fastigjum △ nad drzwiami; sam Cesarz prosił Senatu o przyzwolenie, aby mu wolno było ten trianguł nad wchodem posiadać. Otóż tak jest, — przytem zapracowany i... goły, jak człowiek, który winnicę ogrodził i czeka wina, a chleba mu zbywa. Tudzież humoru dobrego, w czem łaska widoczna Pana Boga naszego — amen. Pan Malet nie zawiadomił mię, — posyłam S. Magdalenę. Na ekspozycję krakowską dałem Krzysztofa Kolumba w pracowni swej, gdzie kajdany zawieszone miewał całe życie, lubiąc na nie patrzeć, — tudzież Chrystusa Pana z Barabaszem na ławie jednej siedzącego w pretorjum Piłata. Obie rzeczy tej wartości, że nikomu zapewne nie podobają się; ja o tyle z nich kontent jestem, że bez wszelkiej wątpliwości można je bliżej przy starych niż przy dzisiejszych położyć, i że moje, co — jeżeli uważać będziesz — jest dziś niezmiernie rzadką rzeczą w sztuce. Zresztą zrobiłem to jako dopełnienie obowiązku, kiedy inni Polacy dają, aby nie odłączać się — voilà tout.

Onegdaj odbył się pogrzeb ś. p. Adama, — byłem na nabożeńswie tylko... Na pogrzebie w Montmorency Bohdan mówił, — młodzi koledzy nieśli trumnę. Ja ograniczyłem się co do pogrzebu na obowiązkach chrześcijanina względem ducha. Nie wierz w to, aby Polacy kłócili się o c i a ł o, nigdy! Kłócili się może o to, co było ciałem. Nigdzie u nas nie znajdziesz uszanowania dla ciała; — tak to i ten pogrzeb: nieładu pełno, chodzą z lornetami, patrzą, kłaniają się, — żadnego ogółu. — Nareszcie na wschodach ś. Magdaleny, gdzie było nabożeństwo, generała Zamoyskiego kijem parę razy uderzył obywatel wojskowy ze starej emigracji, a też z partji Hotelu Lambert —

Czy to o c i a ł o kłócili się?... Czy to uszanowanie ciała?...

Wyraziłem się o tem przyjaciołom gwoli w następujący sposób, co mi tem snadniej, że przecie do arystokratycznej partji nie mam zaszczytu liczyć się:

*Duch Adama*:

— Oto ten samy, którego bez-dumna...[1])

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Trzeba Ci wiedzieć, że Pan Adam bezwidocznie tyle razy w imię czwartego przykazania zasłaniał błędy tradycyjne, to też Pan Bóg dał mu, że jeszcze z trumny kirem swoim obrzucił i tę nagość, solennością dnia skandalu uczucie czyniąc ogólniejszem... rozumiesz... Takich ludzi... dopiero po śmierci czyta się... Ostatnie słowo jego było: „k o c h a j m y s i ę”. Kiedyż trywjalne Polactwo (nie polska-rzecz) nauczy się sylabizować interes własnej godności?

Ale to widzisz, ja ci powiadam, że u ciotki mojej tu przy księdzu Aleksandrze Jełowickim przyszedł szanowny człowiek Zan i czytał list z Stambułu do Kozaków, gdzie pisano poetycznie a z rozrzewnieniem chrześciańskiem, jako tam karę cielesną w kozaki one wprowadzono...! Uniosłem się i powiedziałem obecnym, że jest hańba, że ostatniem zepsuciem jest poetyzowanie własnego oszołomienia się, że dwadzieścia lat biedują jak ostatni ludzie, a jeszcze są despoci. Bo powiadam ci, że dopóki m i e c z, k u l a, s ą d a osobliwie k o r d (cor), p a ł a s z (pałać), — to jeszcze wiadomo, gdzie rękojęść; ale jak tylko kij, to ten ma bez-rękoistną swą okrętność.

Tobie powiem, że ja duchownego (ale nie myśl, że wspomnianego wyżej, — kogo innego) słyszałem raz u nas, powołującego się o k i j — cóż ty powiesz? Cały kodeks jest pogański, alеż Polacy to nawet nie zadali sobie pracy i taki, jaki jest, zważyć i upoważnić. Jestem przekonania, że: żółci, bicza czy kija, cierniu, szubienicy, piki chrześcijańska procedura kryminalna używać nie może p o d k a r ą o d w r ó c e n i a s i ę b e z s t e r n i e, bo to są narzędzia męki Pańskiej. I dlatego przepatrz, proszę, dzieje żółci, bicza, kija, szubienic, pik, i jak się odwracają? Otóż w części mojej czoło w czoło powstałem na mahometańsko-angielsko-protestancko-emigrancko-konstantynopolitańskie kozactwo z pikami i na skandal wyrządzony na ciele najnieszczęśliwiej wytrwałego obywatela (hr. generała Zamoyskiego), którego nie znam, jako wiesz, żadnej z polityczną arystokracją nie mając styczności i nie chcąc jej mieć.

Ale ja ci mówiłem i powtarzam to jeszcze, że każdy Polak rodzi się despotą i że ledwo-ledwo tam kiedyś po wiekach cierpienia wewnętrznego wyłazi z tego. Powiadają, że ci praktyczni ludzie, że trzeba hartu, energji, dyscypliny; — hart jest z godności wewnętrznej, — energja z wypróbowanego doświadczenia duchowego a realnego, — d y s c y p l i n a (jako bat) to właśnie-że brak d i s c i p u l - l n y.

Któż tak powstał przeciw ś. p. Adamowi jako ja w Rzymie, — ale czy ubliżyłem kiedy godności jego, czy nie uszanowałem tego, co w nas ludziach jest ś w i ę t e m - c i a ł e m, to jest tego, co trudem swym rozlał Adam wokoło jako ogół duchowo-realny? Ceniłem, sądziłem, — bo kochałem, chwała Bogu trzeźwo. Oni chowają strzemiączka od butów na pamiątkę, a nie widzą nawet c i a ł a, ani za życia ani po śmierci. Oni kochają Polskę jak Pana Boga i dlatego zbawić jej nie mogą, bo cóż ty Panu Bogu pomożesz? Zaiste, że n a j m i ł o s i e r n i e j s z y m i ł o ś n i k j e s t O n, k t ó r y w i d z i t o w s z y s t k o, oczekiwając.

Duchownemu może-że wolno jest podnieść ogórki, które są z białej wełny barankowej, gniewu barankowego narzędzia, — jako Pan to na przedajne mieszkańce świątyni podniósł, i to jeszcze tylko w odparciu świętokradztwa. Ale komu ze śmiertelnych wolno jest śmiertelnika równego sobie dotknąć, nie szanując w nim godności człowieka, obrazu Bożego, którego Wszechmocny nie utworzył słowem rozkazującem, ale ulepił ręką kochającą Ojca-Twórcy!

Jeśliś rycerz (bo żołnierzy, żołdaków-sold, jak wiadomo nie trzeba już w chrześcijaństwie), jeśliś r y c e r z, to jest: generał, oficer albo prosty bojowy człowiek, to nie sięgajże dalej nad kazanie Janowe (co On mówi?), bo Zbawiciel żołnierzowi już nic nie mówi, a Jan ś. poprzednik jesz-

[1]) W autografie następuje tekst wiersza, ogłoszonego )z innego autografu) w r. 1907 w *Pamiętniku Liter.*, VI 105, p. t. *Duch Adama i skandal*.

cze ich uczy, „aby nie bili", to jest: aby zwyciężali tylko bijąc się jako rycerze nie hołota. Jeśliś wódz, wydający wojnę, to znowu patrz, kiedy ten czas już przychodzi, że godzi się mieć pieniądz w worku, nie w obiegu tylko, a przedawać płaszcz i kupować miecz. Czas, w którym przy przesileniach się historji prawda i fałsz stają na równi i trza je Piotrowym kordem dotknąć w ucho, tak aby usłyszały, i zaniechać aż potąd, Panu zostawując owoce zwycięstwa, bez dyplomatycznego podrabiania a priori historji świata.

Oto masz cały skorowidz tych trudnych kwestyj, — tak to wojowali ci, którzy wiedzieli dopokąd dobywać korda przy czytaniu Ewangelium. Tak też staje kodeks, kiedy wypracujemy — co daj Boże — przyszłość z pod tych skorup, tak wojował i (mógłbym powiedzieć z fanfaronadą:) nie obcy mi król Jan III, gdybym nie zostawował tego kądzieli, co kądzieli należy się, i gdybym nie miał republikanckich dziadów moich, tych, których pochodzenia są niejasne, jako to: Sokratesa, Danta, Krzysztofa Kolumba, Michała Anioła, Kopernika, Kościuszkę i td., tych mówię, co stanowią poczet familijny nasz demokratyczny, a Rzeczpospolityczny, o których ojcach mówią, że podobno pochodzili tam skądciś, a o matkach, że pono się tak nazywały: *homo quidam*, — *homo novus*, a jak Tertuljan 5-ty pisze: „z nieba spadły", nie wiedzieć skąd i dokąd idący, — a Bóg go wie — gdzie...

Oto masz tedy pałasz, — bo piszesz mi, że czujesz, iż zbliżyć się Ci trzeba ku służeniu sprawie ojczystej.

Dwie ci rzeczy mam do wyrzucenia, że nic mi nie piszesz o Matce Mieczysławskiej, której stopy całuję, i nic o Edwardzie Łubieńskim, któremu udziel listu tego, bo osobno pisać czasu nie mam, a pamiętam go zawsze jako jego i jako krewnego Włodzimierza. Bliski mi w modlitwach jesteś.

Z poważaniem braterskiem

Twój

Cyprjan Norwid

P. S. Znowu w kącie siedząc pracuję, bo nie warto mieszać się, jak widzisz.

[Adres:] Monsieur Theophile Lenartowicz, à Rome, Italie.

[Uwaga wydawcy:] List (aut. w Bibl. Krasińskich, nr. 5148) bez daty, ale tę ustalić łatwo z treści: pogrzeb Mickiewicza, zakłócony gorszącą burdą Jaźwińskiego, odbył się d. 21 stycznia 1857 r.: list pisany w kilka dni później. Wspomniany w liście Zan — to Stefan, przyjaciel Mickiewicza, a wiadomość o karze chłosty dotyczy stosunków w Dywizji Kozaków sułtańskich M. Czajkowskiego. Wspomniany „spór o ciało" Mickiewicza odbił się echem po emigracji: istniał był mianowicie początkowo pomysł (mający poparcie bodaj w grupie Hotelu Lambert), by zwłoki pochować w Konstantynopolu. Sprzeciwili się temu przyjaciele Zmarłego i ogół emigracji.

LUKRECJUSZ

# POWITANIE WIOSNY

## (INWOKACJA)

*Aeneadum genetrix, hominum divumque voluptas...*
*(Lucreti Cari, De rer. nat. ex lib. I).*

O, Eneadów rodzico, ludzka rozkoszy i boska,
Wszechżywicielko Wenero, co pod gwiaździstem sklepieniem
Morza napełniasz żeglowne życiem wszelakiem, a twarde
Lądy zapładniasz łaskawie, aż się owocem i płodem
Gęsto ozdobią, bogato!... Twoją-to wolą poczęte
Zwierząt przemnogie rodzaje, twoja-to władza rozwarła
Ślepia ich słońcu — i twoja bardzo łaskawa moc rządzi
Wichrem, co zmyka w popłochu, gdy się pojawisz, i chmurą,
Co pierzcha przed Tobą; zaś ziemia w kwietne się tobie [kobierce
Stroi; i morze się śmieje, kiedy na niebie pogoda
Z łaski twej światłem zakwitnie. Ledwo się pierwsze [wiosenne
Dzionki rozbłysną nad światem, ledwo się wichry wiosenne
Płodnym objawią oddechem, wnet się odezwą i ptaszki,
Lotne dziecięta przestworu, twoje zwiastując nadejście,
Chwałę śpiewając twej sile. Wnet się rozgrzeją i stada,
Zwierz namiętnością wzbujały, ciśnie się nawet i w topiel...
Czar twej słodyczy odurza, wszystkie za tobą stworzenia
Gonią trawione gorączką, wszędzie gdzie jeno ty zechcesz,
Pójdą za tobą niewolne. I w górach szczytnych i w morzu
I w głębiach rzeki wezbranej, w bujnie rozkwitłych gaiskach,
I w polach świetnie zielonych, wszędzie i wszędzie na świecie
Słodkie rozpala się płomię, wszystkie godują rodzaje,
Aby tą żądzą przemożną nowych przyczynić pokoleń!...

Ty, która władasz jedynie, sama, bez żadnej pomocy.
Całą przyrodą wszech rzeczy, która na słońce wywodzisz
Żywioł wszelaki i która jesteś sprawczynią wszystkiego,
Co jest żałosne i miłe, bądź mi pomocna w mem dziele!

Dzieło, co światu obwieści tajną przyrodę wszechrzeczy,
Temu poświęcę mężowi, w którym się, boska, lubujesz:
Oddam je temu Memmidzie, coś go raczyła uświetnić
W sprawach wszelakich. I przeto wznoszę ku tobie [błaganie:
Pomnij na twego wybrańca, udziel swej łaski tym wierszom,
Niechajże w krasie niezwiędłej trwają i nigdy nie zginą!...

Teraz zaś niechaj się zciszy, twoją śmierzona litością,
Wojna, co jękiem i szczękiem lądy napełnia i morza.
Uczyń, co zdołasz; albowiem w twojej wyłącznie jest władzy
Dać śmiertelnikom skosztować wszystkich dobrodziejstw [pokoju;
Oto już z wiru tętentów, srogich bitewnych okrzyków,
Rwie się ku tobie bóg Wojny, w twoje okrągłe ramiona
Słania się, żarem zwątlony, wzrokiem się w ciebie wpijając,
Pasie swe chciwe spojrzenia, duszą nad twemi uwieszon
Wargami... Wtedy, o boska, ciałem dźwigając go świętem,
Kiedy obejmiesz mu barki, wtedy-to szeptaj mu w ucho
Czułej namowy słóweczka, pokój nagotuj Rzymianom:

Bowiem w tym czasie tak srogim dla skołatanej ojczyzny,
Ani możemy spokojną duszą nauce się oddać,
Ani też Memmius nie może sprawy odbieżać publicznej!

Przełożył K. L. K.

# NA WIDOWNI

Zjazd Naukowy im. Krasickiego. — Porównanie ze Zjazdem im. Kochanowskiego. — Czemu mniejszy oddźwięk. — Wiek XVIII i Polska dawniejsza.

W DNIACH 8, 9 i 10 czerwca r. b., w czasie Zielonych Świątek, we Lwowie odbył się Zjazd Naukowy im. Ignacego Krasickiego. Program obrad — w 200-ną rocznicę urodzin poety — na pierwszem miejscu postawił badania, dotyczące jego literackiej puścizny, oraz, ogólniej, prądów duchowych XVIII stulecia, t. j. epoki, w której autor „Myszeidy" żył i tworzył. I tu odrazu, zanim nauka oceni należycie dorobek zjazdowy, nasuwają się pewne refleksje — ze stanowiska publicysty.

Niewątpliwie, Krasicki był artystą wysokiej miary, umysłem niepospolitym, położył dla rozwoju piśmiennictwa polskiego trwałe zasługi. Niewątpliwie, organizacja zjazdu spoczęła w rękach ludzi kompetentnych, którzy uczynili wszystko, by jubileuszowy hołd wypadł jaknajwspanialej, jaknajuroczyściej, jaknajpowszechniej. Czemuż tedy, jeśli chodzi o oddźwięk w społeczeństwie, obecny Zjazd im. Krasickiego i w części nawet nie dorównał Zjazdowi im. Kochanowskiego, jaki odbył się przed pięcioma laty w Krakowie? Czemu zjazd lwowski był jakgdyby tylko domowem świętem uczonych-polonistów, podczas gdy tamten, śmiało rzec można, stał się dla całej Polski kulturalnej wielkiem zdarzeniem?

Sekret w tem bodaj, iż nie należy zbytnio poddawać się suggestji formalnego pojęcia: r o c z n i c a. Trzeba mieć bowiem umysł istotnie, jak kancelista, układny i posłuszny, by punktualnie poczuć natychmiast zaciekawienie twórczością myśliciela czy poety, dlatego tylko, że mija właśnie okrągła liczba lat od daty jego urodzenia albo zgonu. Pomimo doskonalonych wciąż sposobów „ujednostajniania" mózgów, pomimo zbiurokratyzowania dusz i władztwa propagandy, nie tak źle jeszcze, nie tak beznadziejnie jest z zainteresowaniami i gustami inteligentnego ogółu. Dlatego też w tych jubileuszach, które naprawdę donośne echa wywołują w świadomości społeczeństwa, przypadek daty mniejszą o wiele, niżby się to napozór mogło zdawać, odgrywa rolę. Raczej naodwrót, kiedy z tych albo innych racyj, zbiorowa myśl czuje potrzebę zbliżenia się ku danej historycznej epoce czy postaci, bez trudu zwykle, poszperawszy w chronologji, wynajduje się jakąś odpowiednią dla tego celu rocznicę, która się staje dla wyrazu tych uczuć najdogodniejszą sposobnością i p r e t e k s t e m.

Otóż wydaje się, iż z tej strony na rzecz spojrzawszy, nie trudno będzie zrozumieć różnicę zainteresowania ogółu w stosunku do zjazdów: krakowskiego i lwowskiego. Zgóry narzuca się, iż w dzisiejszej pozycji dziejowej, uwaga narodu zwróci się chętniej ku wspominaniu epoki potęgi i rozkwitu, niżeli doby, gdy Rzeczpospolita wymazywana była z mapy politycznej Europy. Bliższe nam dzisiaj i bardziej aktualne są problematy z okresu Jagiellonów czy Batorych, niż zagadnienie, ile i w jaki sposób da się ocalić od ostatecznej, nieuchronnie zbliżającej się katastrofy. Więcej nauczy nas (bo więcej odczuwamy analogij) „Satyr" albo „Odprawa posłów greckich" Kochanowskiego, niż piękna przecież, patrjotyczna i szlachetna satyra Krasickiego: „Świat zepsuty".

Ale nietylko odmienne warunki dziejowe, w jakich powstawała, czynią nam dzisiaj literaturę XVIII stulecia dalszą niekiedy, mniej zaciekawiającą od piśmiennictwa staropolskiego epok wcześniejszych. Ważniejsze bodaj, niż te zewnętrzne okoliczności, są jej niektóre znamiona wewnętrzne, jej charakter. Niezaprzeczenie, przeniknięta jest ona—w wielu wypadkach—duchem obywatelskim, szczerą i poważną troską o losy Polski, a przecież najzupełniejszą słuszność ma Mickiewicz, kiedy literaturę naszą z czasów Stanisława Augusta określa jako „mało narodową", kiedy oskarża ją o „przyczepianie się do idej cudzoziemskich". Widoczne to jest i w zakresie formalnym, w stylu, manjerze pisarskiej tych czasów, i w dziedzinie treści.

Zapewne, i tę cechę ówczesnego stanu umysłów da się wyjaśnić, a nawet poniekąd usprawiedliwić: w okresie, gdy Rzplita waliła się w gruzy, polskość nie mogła wydawać się tak imponująca, jak w wieku XVI czy XVII, Polak, zgnębiony świadomością upadku i bezsiły, mimowoli ulegał pewnemu poczuciu własnej n i ż s z o ś c i. Były to lata, kiedy sam Rousseau zmuszony był strofować polskich reformatorów, którzy zwrócili się o wskazówki w sprawie nadania Polsce nowej konstytucji, i gdy przestrzegał ich, żeby zbyt lekkomyślnie nie wyrzekali się szlachetnych i dostojnych tradycyj ustrojowych dawnej Rzplitej.

Naród wszakże, odbudowujący swą wielkość, takiego poczucia niższości żywić nie może, musi mieć wiarę w siebie, w piękno swej cywilizacji, w wartość swego charakteru narodowego i historycznego dziedzictwa. Po wiarę tę, po tę atmosferę polszczyzny będzie powracał do Czarnolasu, ale nie pójdzie oddychać jej ozonem — na Obiedzie Czwartkowym w Łazienkach.

Czy ma to znaczyć, że badania nad wiekiem osiemnastym nie są wogóle, dla dzisiejszego pokolenia polskiego, ciekawe? Przeciwnie, chodzi tu tylko o to, że właśnie ten okres naszych dziejów najmniej nadaje się do spoglądania nań w nastroju rocznicowo-bronzowniczym, że winien być przedmiotem badań naukowych, nie zaś świątecznych, j u b i l e u s z o w y c h nastrojów. Historjografja ostatnich lat kilkudziesięciu wpoiła w nas dość paradoksalne przeświadczenie, że wiek XVII, a nawet czasy jeszcze wcześniejsze, to epoka coraz głębszego upadku narodu, natomiast stulecie XVIII — to już początek ozdrowienia, renesansu. To też w poglądach i w literaturze tych pokoleń, co zwyciężały pod Kłuszynem, Chocimem, Wiedniem, co potrafiły odeprzeć wszystkie najazdy w dobie „potopu"—każą nam stale poszukiwać znamion rozkładu, demoralizacji, głupoty, natomiast w myślach i piśmiennictwie tej generacji, co nie zdołała uratować Polski przed katastrofą — pierwiastków siły, zdrowia moralnego, rozumu. Pomimo wszystko, przyrodzony zdrowy rozsądek czuje jednakże coś zlekka niepokojącego w takiej postawie... Zdaje się przeto, iż niejedno jeszcze jest w tym zakresie do zbadania i przemyślenia na nowo, i że—być może—„odbronzowienie" pewnych tradycyj ideowych czasów stanisławowskich, jest również pilne i zarazem równie ważne, jak rehabilitacja pewnych tradycyj i instytucyj Polski dawniejszej.

JAN REMBIELIŃSKI

# Z OBCEGO ŚWIATA

## DOŚWIADCZENIE DOUMERGUE'A

DOŚWIADCZENIE DOUMERGUE'A (*expérience Doumergue*) jest już skończonym epizodem z dziejów 3-ej Republiki Francuskiej. Czy to doświadczenie się udało, jakie są jego rezultaty? P. Fischer, jeden z przyjaciół Doumergue'a, stara się odpowiedzieć na te pytania w swojej książce: *„Doumergue et les politiciens"*. Ze studjum tego wynika, że ani objektywne warunki, ani charakter osobisty i metody działania Gastona Doumergue'a nie pozwalały mu stać się reformatorem życia publicznego we Francji. Organizacje narodowe i patrjotyczna ludność Paryża ani nieposzły na *Place de la Concorde*, z ogólnie choćby sformułowanem hasłem reform, ani nie zjednoczyły się, żądając oddania władzy Doumergue'owi. Żadnej reformy państwa, po wygaśnięciu swej kadencji prezydenckiej, Doumergue nie propagował; został przywołany naglęco przez tych, którzy chcieli ocalić się, chloroformując opinję publiczną, bez chęci uczynienia jakichkolwiek zmian nietylko w strukturze konstytucyjnej, ale i w składzie personalnym sfer rządowych. 7-go lutego 1934 Doumergue był prawie w przeddzień wyjazdu do Egiptu i odpowiedział odmownie na telefoniczne rozpaczliwe wezwania prezydenta Lebrun'a, dopiero gwałtowne telefony Lavala skłoniły starego polityka do wyrażenia zgody na utworzenie rządu. Prezydent republiki Lebrun prawie łkał z radości przy telefonie, dziękując Doumergue'owi za powzięcie decyzji; entuzjastyczną radość wyrażał także prezydent senatu Jeanneney; obaj ci dostojnicy zapewniali o swojem bezwzględnem poparciu, którego jednak nie dali Doumergue'owi w decydujących chwilach na początku listopada.

Przedstawiciele patrjotycznej Francji szli dn. 6 lutego przez *Place de la Concorde* z okrzykiem: „Chcemy, żeby Francja żyła z honorem i uczciwością!". Ten okrzyk, ta krew patrjotów, która została rozlana, upoważniały Doumergue'a przynajmniej do energicznej, nieszczędzącej nikogo akcji przy wymiarze sprawiedliwości, do zreformowania policji i przedewszystkiem do nieliczenia się z ambicjami osobistości i grup politycznych, które odgrywały rolę decydującą w ostatnich latach. Tymczasem Doumergue nie zdał sobie sprawy z tego, co mógł zrobić. Energiczny wymiar sprawiedliwości wymagał zreformowania procedury sądowej, choćby przy pomocy dekretów, i postawienia na czele ministerstwa sprawiedliwości człowieka energicznego, owładniętego wyłączną namiętnością oczyszczenia stajen augiaszowych; zamiast tego w dwa tygodnie po 6-ym lutego, zamordowano, w zagadkowych i kompromitujących sfery polityczne, okolicznościach, sędziego Prince'a. W ministerstwie spraw wewnętrznych przeprowadzono tylko jedną „reformę", zmieniając niepopularną, wskutek kampanji Leona Daudet'a nazwę departamentu policji politycznej z *„Sureté Générale"* na *„Sureté Nationale"*, ale nie utworzono spejalnego ministerstwa Bezpieczeństwa publicznego, które w pewnym momencie Doumergue zamierzał utworzyć dla Chiappe'a, a zamiast tego doszło 12-go lutego do próby strajku generalnego, otwarcie popartej przez szereg agend ministerstwa spraw wewnętrznych. W sprawach personalnych Doumergue z własnej woli stał się więźniem starego systemu i ludzi, których karjera powinna się była skończyć 6-go lutego. Zamiast otoczyć się energicznymi i zależnymi tylko od siebie współpracownikami, otoczył się Doumergue współzawodnikami, delegowanymi przez skompromitowane grupy parlamentarne i utrzymującymi kontakt z osobistościami bezpośrednio odpowiedzialnemi za krwawe wypadki przed gmachem Izby deputowanych. Przyjęcie przewodnictwa rządu „jedności narodowej" uzależniło odrazu pozostawanie Doumergue'a przy władzy od pozostawania w jego gabinecie reprezentantów grup parlamentarnych. Bez żadnego przymusu zrobił jednak Doumergue wszystko, aby rehabilitować dawny system i reprezentujące go postacie. Gdyby do gabinetu Doumergue'a nie wszedł Herriot, to zarówno on, jak partja radykalno-socjalistyczna wykluczone byłyby od wpływu na prace i los rządu, tymczasem Doumergue do udziału w tych pracach i do wpływu na losy swojej misji politycznej przywołał nietylko Herriota, ale szereg ministrów, obalonych przez patrjotyczne manifestacje, z gabinetu Daladiera. Bez żadnego także przymusu, nie wyzyskując usamodzielniających go okoliczności, ułożył Doumergue tok swoich prac tak, jak sobie tego życzyli politycy, pragnący zrobić z jego rządów krótki epizod. Naprzód uspokojenie a potem reformy, taki był program Doumergue'a, zaś życzenia lewicowych i masońskich mafij, streszczały się w zdaniu: tylko uspokojenie, a potem dymisja.

P. Fischer w swojem studjum stara się obronić i jaknajlepiej przedstawić taktykę i zamiary prezydenta Doumergue'a, ale i z jego *exposé* wynika, że warunki pracy i osobisty stosunek do swojej misji skazywały Doumergue'a na niepowodzenie. W parlamencie starał się Doumergue bywać jaknajrzadziej i przez szereg miesięcy Izby nie funkcjonowały: było to zaś położenie nienormalne. Reforma państwa i usunięcie przeszkód parlamentarnych na jej drodze, byłyby prawdopodobnie możliwe, gdyby Doumergue, stworzywszy prawdziwie jednolity i od siebie zależny rząd, przedstawił prezydentowi konieczność natychmiastowego rozwiązania Izby deputowanych jeszcze w lutym. Zapóźno było przedstawiać tę ewentualność w listopadzie, gdy p. Lebrun wszedł w pertraktacje w sprawie następstwa po Doumergue'u, gdy senat dowiedział się, że reforma ma polegać głównie na odebraniu senatowi wpływu na rozwiązywanie Izby, a posłowie zostali zmobilizowani obawą utraty 150 tysięcy franków i emerytury poselskiej w razie wygaśnięcia mandatów przed upływem normalnej kadencji. Jeszcze w lipcu, w czasie incydentu Tardieu-Chautemps, pozycja Doumergue'a była dość mocna, aby narzucić kompromisową formułę Herriotowi; w listopadzie, po kongresie radykałów, który pozwolił Herriotowi na wszystko, po dymisji Sarraut, skompromitowanego przez zbrodnię marsylską i Chérona, odsuniętego przez interwencję marszałka Petaina, po odpływie fali patrjotycznego entuzjazmu i poświęcenia, po napełnieniu kas rządowych, nie mógł już Doumergue liczyć ani na prezydenta Lebruna, ani na poparcie swoich kolegów ministerjalnych, a sam, osądzając w sposób dziwnie osobisty swoją misję reformy życia politycznego, Doumergue nie chciał skorzystać z tego psychologicznego nacisku, który na sfery parlamentarne mogło wywrzeć stanowisko wielkich organizacyj

patrjotycznych (*Union nationale des Combatants, Croix de Feu, Jeunesses patriotes*). Podobnie jak przed 6-ym lutego, Doumergue przy niczem się nie upierał, tak samo w listopadzie upierać się nie chciał, chociaż przez dwa miesiące wakacyj letnich przygotował niezbędny, według siebie, plan reformy politycznej, sprowadzający się w gruncie rzeczy do zastosowania we Francji angielskiego systemu swobodnego rozwiązywania izby niższej przez naczelnika państwa na propozycję rządu.

Na jesieni w 1934 r. francuska narodowa opinja publiczna była po stronie Doumergue'a, tak samo, jak w pierwszych dniach lutego, ale odgrywające decydującą rolę *imponderabilia* polityczne były inne. Na co liczył Doumergue? Według p. Fischera miał on zamiar, w razie łatwego zrealizowania reformy, przekazać w r. 1935 władzę wskazanemu przez siebie następcy; w razie trudności w Izbie chciał zażądać rozwiązania jej, a gdyby się Senat na to nie zgodził, przypuszczał, że senatorzy ustąpią jednak, gdyby im zagrozić dymisją zarówno prezesa rady ministrów, jak prezydenta republiki. Obie te drogi wymagały bezwzględnej solidarności wszystkich członków rządu i zachowania przez p. Lebruna przyrzeczeń z 7-go lutego. Tymczasem ministrowie mieli swoje związki, swoje intrygi i swoje plany na przyszłość, tylko lojalny marszałek Petain, osobisty przyjaciel generał Denain i zawdzięczający swoje teki Doumergue'owi ministrowie Rivollet i Marquet byli zdecydowanymi zwolennikami Doumergue'a; przywódca radykałów Herriot od początku, w szczególności od incydentu Tardieu - Chautemps, grał rolę konia trojańskiego; Tardieu, stanowiąc w gabinecie takie oparcie na prawicy, jakie Herriot dawał na lewicy, nie mógł Herriota zastąpić; drugi przywódca umiarkowanych, Marin, nie uzależniał losów swojej teki ministerjalnej od losu Doumergue'a, Flandin przygotowywał się do objęcia spadku; Germain-Martin, Queille i Berthoa i Bertrand, nabytki po gabinecie Daladiera, solidaryzowali się z Herriotem.

Obejmując urząd, Doumergue znalazł w skarbie jeden miljon do rozporządzenia i natychmiast wymagalne zobowiązania na 700 miljonów; w listopadzie w skarbcach było rozporządzalnych 2 miljardy 800 miljonów franków; ta okoliczność, powakacyjna niegotowość Paryżan do manifestacyj, wypowiadanie poglądów Doumergue'a przez radjo, a nie bezpośrednio w parlamencie i zdecydowanie się przezeń na przystąpienie do realizacji reformy politycznej określiły chwilę upadku mędrca z Tournefeuille. P. Fischer stara się oddzielić Doumergue'a od politycznego świata francuskiego z czasów powojennych, ale to się wydaje rzeczą niemożliwą. Przypuszczać nawet należy, że Doumergue właśnie dlatego nie podołał sytuacji, że nie mógł, nie chciał czy nie umiał wydobyć się z koła tych wpływów i osób, które musiał znać i których sam był cząstką od lat kilkudziesięciu, jako poseł, minister, prezes rady ministrów (r. 1914), senator i wreszcie prezydent republiki. Nie chciał Gaston Doumergue skorzystać z nowych elementów siły w życiu publicznem, a nie mógł użyć dawnych elementów; dziewięciomiesięczny okres „dyktatury moralnej" stał się epizodem, dzięki czemu powodzenie osiągnęli ci właśnie, przeciwko którym szły falangi patrjotyczne 6-go lutego. Doumergue odszedł, na jego miejscu zostali przyjaciele Chautempsa i Daladiera i musieli zostać, bo tego wymaga duch *régime*'u, ocalonego strzałami na Place de la Concorde.

L. G.

# NAUKA i LITERATURA

## „OKOLICA POETÓW"

W MIASTECZKU Ostrzeszowie (Wielkop.) powstało czasopismo miesięczne p. t. „Okolica poetów". Redaktorem i wydawcą jest Stanisław Czernik. Pismo przeznaczone jest wyłącznie twórczości poetyckiej, podaje nadesłane utwory, pozatem zamieszcza recenzje, oraz przegląd plonu poetyckiego w czasopismach.

Mamy dotąd dwa zeszyty, w których sprezentowano 24 poetów. Wśród nich znaleźli się poeci dawnej i sławnej marki, jak Staff, Iłłakowiczówna i młodszej marki, jak Bąkowski, Bogusławski, Młodożeniec, Przyboś. Ale ci są raczej gośćmi honorowymi. Pozatem takie nazwiska: Czuchnowski, Piechal, Madej, Timofiejew, Janczarski, Miłkowska-Iwańska, Ożóg, Jastrun, Pietrzak, Kott, Turczyn, Szajdak i in. W tych dwu zeszytach znaleźliśmy wzmianki o 46 poetach innych, poza 24 pomienionymi. Nie jest to przecież wszystko.

W tej chwili w Polsce drukuje wiersze najmniej 150 ludzi. Z nich najwyżej połowa umiałaby poprawnie napisać prozą list do redakcji. Ciekawa byłaby mapka geograficzna rozsiedlenia tych poetów, oraz statystyka według pochodzenia społeczno-kulturalnego. Z nazwisk sądząc, przeważa młodzież pochodzenia ludowego, pełna ciekawości do sztuk, jakie można wyczyniać za pomocą słowa na tle psychiki stanów podświadomych.

Dawniej w sferze szlacheckiej, obytej z kulturą książkową, wystarczało wykształcenie szkolne; podejmowano ostatnią nutę i tworzono dalej, jak pozwalał talent. Teraz poczynają poeci od abecadła, to też krytyka wykłada im zasadnicze elementy psychologji piękna i sztuki, co jednak niewiele pomaga. Poeci szukają wzorów poza tradycją rodzimą na chybił trafił, myląc się nieraz o całą cywilizację i całą Europę. Nie mogą trafić w nurt kultury polskiej.

P. St. Czernik w nr. 2 „Okolicy poetów", pisząc o poezjach Pasternaka, robi taką uwagę:

„Jest to nowy okaz niewłaściwie pojętej, a może samozwańczej poezji proletarjackiej. Pospolity błąd niemal wszystkich wierszopisarzy naszych, poszukujących krzepy proletarjackiej: odwoływanie się do Manifestu, wersety z Marksa, ukłon w stronę Sowietów mają oznaczać proletarjackość. Wiadomo, że nawet w Sowietach już to „nadojadło". Jest to najzwyklejsza tromtadracja, jakaś rymowana publicystyka lub szablonowa gadanina pseudo-poety".

Rzecz ciekawa, że w Wielkopolce mnożą się zastępy, uczące się sztuki pisania wierszy, na co dawniej nie było tam czasu i ochoty.

P.

## ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W dni Zielonych Świąt, jak zapowiadaliśmy, odbył się we Lwowie Zjazd naukowy im. Krasickiego. Sam Krasicki zajął bodaj mniej miejsca wśród referatów i dyskusyj. Podstawą tego działu były cenne odkrycia prof. L. Bernackiego. Natomiast główne zainteresowanie skupiło się koło referatów, dotyczących metodologji badań literackich. Referaty w tym zakresie wygłosili: Tad. Grabowski (nowa nauka o literaturze), E. Kucharski (poetyka noweli), J. Kleiner (o historyczności w strukturze dzieła literackiego), M. Kridl (podstawowe zagadnienia nauki o literaturze). Dużo było w tem scholastyki i niemało też trafnych wskazań Jest to jedno z tych zagadnień, o których można dyskutować nie dni, ale miesiące, a co do których każdy będzie miał swoją rację i nikt jej nieć będzie, o ile się oprze na mniemaniu, że jednak jakąś metodą stworzy naukę o lite-

raturze. Jest to odwieczny spór światopoglądów o wyższość w poznawaniu prawdy, przeniesiony na literaturę, w której świat mocą ducha jest streszczony. W rezultacie nauka dojdzie do rezultatu, że wszystkie metody badań są dobre, jako środki pomocnicze dla głównego instrumentu poznania, którym jest intuicja.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Bibljoteka młodzieży „Polski Świat Współczesny", wydawana w księgarni Gebethnera i Wolffa, wypuściła szereg nowych tomików w dobrym wyborze. Są tam książeczki F. Bardeckiego „Lot w Stratosferę" i „Świat planetarny, powiastki K. Makuszyńskiego, Ewy Szelburg-Zarembiny, J. Wiktora, J. Krzepkowskiego, J. Grabowskiego i in

# ZE ŚWIATA SZTUKI

## RAFAŁ MALCZEWSKI

NA czele wystaw IPSu, które tym razem wypadnie omówić, postawić trzeba kolekcję obrazów Rafała Malczewskiego, pod nazwą: Czarny Śląsk. Szereg okoliczności składa się na to, iż pracę i wysiłki artysty śledzimy z najżywszem zainteresowaniem i życzliwością. Życzliwość ta wypływa z obserwacji postawy Rafała Malczewskiego wobec zagadnień sztuki, z możności stwierdzenia szerokiego zakresu jego ambicyj, w urzeczywistnianiu opartych o niebylejaką inteligencję artystyczną. Wszystko to sprawia, że obrazy Malczewskiego, nawet świadomi ich niedostatków, oglądamy jednak z daleko większą przyjemnością, niż prace, rozwiązane jako zadanie plastyczne pomyślniej, lecz według bardziej utartego szablonu.

Malczewski właśnie próbuje przestąpić granice tego błędnego koła, w którem drepce dzisiaj nasze malarstwo pejzażowe, z uporem prawdziwego krótkowidza. Życie sztuki bowiem w równej mierze zaznacza się następującemi po sobie zmianami, jak i rozwojem — od zmiany do zmiany — obranej formy wypowiedzi. Odczuwamy dziś powszechnie potrzebę zmiany zajętego przez większość malarzy stanowiska, a tymczasem sami malarze niczem nie dają znać po sobie, by upragniona rewizja pojęć o zadaniach sztuki miała nastąpić tak rychło. Na czem cała sprawa polega? Oto powiedziano sobie: jeśli obraz ma być dziełem sztuki, to musi być dobrze namalowany, innemi słowy sztuka = dobremu malarstwu. Prawdzie, zawartej w pierwszej części twierdzenia, nie trzeba wcale zaprzeczać, błąd tkwi w zbyt pochopnie wyprowadzonym z niej wniosku. Piękny styl będzie ozdobą każdej powieści, ale przecież sam kunszt pisarski o powieści jeszcze nie stanowi. W literaturze dawno to już zrozumiano, malarze dotąd udają, iż nie wiedzą, o co chodzi. Utożsamili sobie formę wypowiedzi z jej treścią i powiadają, że całą treścią obrazu jest jego zawartość malarska. W ten sposób zabrnęliśmy w zaułek, w którym dzisiaj tak nam ciasno.

W tą atmosferę przesytu i zniecierpliwienia obecnym stanem rzeczy, trafił właśnie Rafał Malczewski i trafił, jak nie trzeba lepiej! A właściwie określenie „traf" nie będzie tu słowem na miejscu, gdyż artysta organizował swą wizję zupełnie świadomie, by ją przeciwstawić paradoksalnie jednostronnej, stosowanej dziś, koncepcji artystycznej. Środki malarskie Malczewskiego były dość skromne, kolorystyka niezasobna, a mimo to jego pejzaże odrazu się wyróżniły z powodzi innych. Już to samo powinno zwrócić uwagę naszych niepoprawnych i ostrzedz, że w ich postawie artystycznej jest coś fałszywego.

Jako rzeczywistość plastyczna, nie miały te pejzaże Malczewskiego odpowiednika w jakimkolwiek wycinku rzeczywistości natury; były to krajobrazy komponowane, chodziło tylko o poświadczenie wiarygodności wizji u widza. A widz, urzeczony suggestywną wymową obrazu artysty, przyświadczył jej całkowicie.

Komponował Malczewski swoje wizerunki okolic podgórskich trochę jak dekorator teatralny. Brał z wyobraźni, jakby już w niej gotowe, drzewo, szmat pola, pagórki, domy, plamę nieba, i rozmieszczał na płótnie, zawsze z myślą o tem, by ogólny układ i ustosunkowanie wzajemne służyło zasadniczemu celowi: uzyskaniu pewnego wyrazu. Wymowę przestrzeni tego, co tylko z pejzażem jest związane, a poza nim nie może być wskrzeszone żadnemi sztucznemi środkami, potrafił artysta wyczarować z płótna, jak nikt inny. Na marginesie nie od rzeczy będzie zauważyć, że był to pejzaż rdzennie polski, widziany oczyma polskiego (w swej sztuce) artysty.

Powołana do życia, przez malarza, wizja artystyczna miała już formę tak zdecydowaną i podstawy bytowania tak mocne, że, zdawałoby się, droga dla dalszej twórczości Malczewskiego została już wyznaczona. Tymczasem artysta, ostatnią swoją wystawą w IPS'ie zrobił nam niespodziankę. Jego pejzaże ze Śląska nie wyobrażają już krajobrazów, w których człowiek może być tylko zagubionym przechodniem. Bezmiar natury, w której tonęliśmy szczęśliwi, teraz oddala się od nas. Resztki dawnego pejzażu podpełzają pod mury królestwa pracy ludzkiej. Między budynkami fabrycznemi, na chudym dziedzińcu, pozostały ubogie kępki trawy. Ciaśniej tu, oddech staje się cięższy. Ale życie i miłość odnajdziemy również między murami tych brzydkich domostw.

Inny pejzaż, o innym wyrazie, jako dzieło plastyki musiał być także wynikiem innego stosunku uczuciowego do odtwarzanej nowej rzeczywistości. Być może także nowy temat wymagał innego, niż dotyczas stosowane, ujęcia.

Wszystkie te, teraz powstałe, trudności, dla których dawne rozwiązania nie wystarczały, postawiły Malczewskiego wobec zadań, nie zawsze jednako pomyślnie, jak dawniej, rozwiązanych. Mimo to, prace tego szczerego, ambitnego i niezależnego artysty, który do tej pory nie pozwolił się nikomu załgać, ani zastraszyć, oglądamy z zainteresowaniem, właśnie dla wszystkich, wyżej przytoczonych, powodów.

WIKTOR PODOSKI

# TEATR

## WACHLARZ

WACHLARZ odgrywał dużą rolę w salonach XIX w., a jak się przydał Oskarowi Wilde'owi, o tem wiemy od r. 1891, kiedy się nim wsławił, wystawiając w Londynie komedję „Wachlarz Lady Windermere".

Obecnie, na czas upałów, wznowił tę komedję teatr Narodowy w bardzo dobrej obsadzie. Główną rolę matki

grała p. Przybyłko-Potocka, córki — p. Lindorfówna, lorda zięcia — p. Różycki; innych lordów grają: Junosza-Stępowski, Jerzy Leszczyński, potem p. Rotterowa, Daczyński i in.

Na czem polega rola wachlarza, o tem wszyscy chyba wiedzą, a jak to wypadło na scenie, to trzeba widzieć. Nazwiska aktorów mówią same za siebie.

Na balu u pp. Windermere znakomici goście wymieniają między sobą tylko takie zdania: „Zapewne jest to ostatni bal w tym sezonie"... „Niewątpliwie". Podobnie rozmawiają teraz lordowie recenzenci w teatrach: „Zapewne jest to ostatnia premjera w tym sezonie". P.

# MUZYKA

TEATR WIELKI. — „Hrabia Luxemburg", operetka Fr. Lehara.

Temat fejletonu wywoła zapewne odrazu ogólne wzruszanie ramionami. Czy warto aż tyle miejsca poświęcać wystawieniu jeszcze jednej operetki na scenie warszawskiego Teatru Wielkiego? Zwłaszcza w takiej formie, jak potraktowano popularnego niegdyś „Hrabiego Luxemburga"?

Zastrzeżenia te mają dużo sensu. Zgóry więc oświadczam, że doskonale sobie zdaję sprawę z różnicy między operetką a uosobieniem trywjalności. „Hrabia Luxemburg" w takiej oprawie, jaką ma ściągać zmęczoną letniemi upałami i znudzoną wakacyjną pustką miasta publiczność, nie może wymagać, ażeby mu poświęcać nawet i trzy wiersze. Jest przecież synonimem złego smaku. Ale czy nim być powinien?

To ostatnie pytanie ma wiele sensu. Mieści przecież dużą troskę o należyte pojmowanie tego rodzaju sztuki operowej, który jest zaprawiony humorem. Jeślibyśmy bowiem wyrugowali te jej formy — uśmiech nasz miałby podkład mocno gorzkawy a wypływałby jedynie na widok przepoważnej akcji „wielkiej opery", stąpającej jedną nogą w przysłowiowej przepaści. Bo nie zapominajmy ani na chwilę, że „...od wielkości do śmieszności itd.", a zwłaszcza gdy się ma do czynienia z niemożliwym doprawdy patosem...

Już od pierwszych prób kształtowania się dramatu muzycznego, obok laudów czy intermedjów powstaje typ komedji, ze świetnym utworem Orazia Vecchi *„Amfiparnasso"* na czele. Cóż w tem dziwnego — ludzie chcą się cieszyć, bawić, weselić, a zwłaszcza w dobie renesansu!

W przerwach pomiędzy aktami, wzruszającemi do łez dolą i losem mitologicznych bohaterów, rodzi się *opera buffa* w śmiechu korowodu barwnych postaci komedji *dell'arte.* Głośne oklaski nagradzają wygląd komiczny, dowcip konwencjonalny, tak znane dobrze wszystkim sytuacje. Błazeńska jednak śmiałość posunie się wkrótce zadaleko; poczucie bowiem stroić głupie miny i przedrzeźniać nieszczęsnego bohatera, który poza barokowemi kulisami wypoczywa właśnie między jedną sceną a drugą. Niektórych to zgorszy, drugim się bardzo spodoba (Jak dzisiaj... jak dzisiaj...). Przepędzą więc wkrótce nieznośnego poliszynela, a ten pocznie tworzyć swój teatr. Kunsztem gry i śpiewu zachwyci wkrótce nietylko Włochy, ale i Francję. I znowu zacznie się wiecznie ta sama historja; jedni będą wzywać do obrony przed nowostką, a do tego jeszcze obcą, innym poczciwy (z biegiem czasu każdemu przyczepia się łatkę poczciwca) Lully już nie wystarczy. I dobrze, bo z walki wyłoni się świetna, typowo francuska *opera cómique*, sypiąca wkrótce szeregiem doskonałej jakości nazwisk. Czasami któreś z nich popełni grzech skomponowania wielkiej opery — gorzej jeśli inni biorą ten grzech za coś bliskiego szczytu i pokażą go z wielkim nakładem pracy i odpowiedniego skupienia ku powszechnemu zgorszeniu, jakiego takiego nawet poziomu słuchającej i oglądającej widowni.

Powstanie we Francji nowego rodzaju komedji muzycznej rodzi oczywiście programową reakcję w Niemczech. A potem przychodzą manjacko pracowity Offenbach, Lecocq, Planquette, Audran, Wiedeń i konkurująca z nim o lepsze Warszawa. Nie tak to przecież było dawno — przed samą wojną, tą ostatnią. Mówię już o operetce, tej zwyczajnej operetce, która wywołuje tyle sprzeciwów i zastrzeżeń. Czy słusznych?

Naumyślnie wywiodłem cały jej rodowód, ażeby zbyt skorym do oburzenia oszczędzić powierzchownych sądów. Teraz z kolei sam pocznę z nią walczyć.

Operetka z dni ubiegłych ma tę złą stronę, że jest właśnie przedwczorajsza. Za młoda na to, ażeby stać się przedstawieniem stylowem, (chociaż już można by się było odważyć na takie jej potraktowanie — kto wie nawet, czyby szczerze nie ubawiła), za stara, ażeby wzbudzać śmiech swoim komizmem. Tragedją humoru jest jego sezonowość. Tylko prawdziwie mądry, a jeszcze bardziej, rzetelnie głupi dowcip może śmieszyć zawsze. Zarówno jednak mądrego jak i w swoim kunszcie głupiego dowcipu łatwo nie stworzyć.

„Hrabiego Luxemburga" należałoby więc odłożyć jeszcze na lat dwadzieścia, a dzisiaj sprobować Grétry'ego, Philidora, Monsigny'ego, Isonarda, Boildieu'a, Adama, Aubera, Nicolaia, Lortzinga, Haydna, Mozarta, Glucka, Pergolese'a, Galuphi'ego, Piccini'ego, Stefani'ego, Moniuszki („Hrabina"!)— kompozytorów „oper komicznych" można by długo cytować.

Dzisiaj zamknięcie sezonu operowego operetką, w której wyolbrzymiono właśnie zły smak, by nim przyciągać t. zw. „szeroką publiczność", zasługuje na niezbyt miłe, ale konieczne słowa prawdy. Tylko tyle.

Żadnego cieplejszego słówka nie znajdę. To trudno.

W. NARUSZ

---

# ZAPOWIEDŹ

W najbliższych zeszytach „Myśli Narodowej" ukaże się szereg ciekawych prac literackich:

K. S. Frycz: „J. G. Bandtkie w setną rocznicę urodzin".

C. Norwida nieznana dotąd „Rozprawa o historjozofji słowa" (podał prof. S. Pigoń).

Z. Wasilewski: „Z dziejów powieści warszawskiej" (cykl artykułów).

Pozatem wiele innych, które są w przygotowaniu, między innemi prace prof. Ignacego Chrzanowskiego.

„Myśl Narodowa" przyjmuje teraz przedpłatę na drugie półrocze. Napływ prenumeraty na „Myśl Narodową" zwiększa się, jedyny to bowiem czas spokojny na czytanie rzeczy trwalszych, niż to, co niesie chwila bieżąca.

—=—

Administracja uprasza o akuratne powiadomiania o zmianie wakacyjnych adresów.

# POKŁOSIE

## SOLENIZANCI

PRZED wojną prasa galicyjska, z wyjątkiem „moskalofilskiej” prasy endeckiej, która z zasady nie drukowała tłumaczeń z literatury rosyjskiej, karmiła obficie swych czytelników płodami muzy wschodniej i nie szczędziła jej zachwytów. Każdy z tych nieugiętych patrjotów znajdował tam coś w swoim guście: „Naprzód” — bosiackie utwory Gorkiego, a pięknoduchy z „Czasu” zachłystywały się z zachwytu nad Czechowem, Garszinem i t. p.

Dziwny to był sposób odgradzania się od rusyfikacji duchowej, ale nie o tem chciałem tu mówić. Przychodzi mi tylko na myśl, że wskutek tej tendencji w prasie przedwojennej Galicji, wielu z rządzących dziś nami mężów zna pewno jedną z nowelek Czechowa, opiewającą tragedję urzędnika, jakiegoś Akakja Akakjewicza. Siedział sobie ów urzędnik w błogim nastroju w teatrze i rozkoszował się „Dzwonami z Corneville'u”. Musiał być niezbyt niskiej rangi, gdyż siedział w fotelach parteru. W czasie słuchania jakiejś arji zdarzyła mu się rzecz bardzo ludzka: kichnął niespodzianie. Zażenowany ogląda się wokoło i w tem zmartwiał: w obcierającym sobie łysinę panu, siedzącym przed nim, poznał naczelnika departamentu! Wprawdzie nie swego „resortu”, ale w każdym razie nie ulegało wątpliwości, że kichnął na łysinę osoby, stojącej w hierachji czynowniczej znacznie wyżej.

Rzecz jasna, że w tej chwili cały teatr i „Dzwony Kornewilskie” zapadły się w przepaść. Biedny Akakij Akakjewicz nic już nie słyszy i nie widzi, zdruzgotany okropnością swej mimowolnej zbrodni. Naturalnie przeprasza zwierzchnika natychmiast w najpokorniejszy sposób, tamten przyjmuje to łaskawie, ale mimo to winowajca nie może się uspokoić i przyjść do siebie. Po powrocie do domu nie może oka zmrużyć przez całą noc, na drugi dzień idzie do biura owego dygnitarza i jeszcze raz składa czołobitne przeprosiny. Ten przyjmuje to znów łaskawie, ale przestępca nie ma spokojnego sumienia, ponawia swe usprawiedliwienia, aż zniecierpliwiony zwierzchnik wyrzuca go ostatecznie za drzwi. Wtedy Akakij Akakjewicz wrócił do domu, położył się na kanapie i — umarł. Takiej oto cnoty był ci to urzędnik!

Można i należy śmiać się z osobnika i z systemu, który takie typy rodzi i pielęgnuje. Śmieliśmy się też doniedawna do rozpuku, ale nie śmiej się dziadku... Myślę, że po przeczytaniu wiadomości, jaka obiegła w ostatnich dniach prasę, o imieninach pewnego kuratora szkolnego, wielu mina by się wydłużyła i śmiech jakoś przeszedł. Bo proszę, jakiś inspektor szkolny, nie w Bizancjum, ani w jego rosyjskiej kopji, lecz u nas w Polsce zwraca specjalnym okólnikiem uwagę nauczycieli na zbliżające się imieniny kuratora i przepisuje dokładnie, jak ten wiekopomny wypadek ma być przez nauczycielstwo i szkoły uczczony. A więc naturalnie pogadanki w klasach o panu kuratorze, o tem, co to za wspaniały mąż i wogóle nietylko dzień, ale cały tydzień ma upłynąć pod znakiem tych imienin, przy każdej sposobności ma być ten ważny wypadek przypominany i podkreślany. Okólnik rozesłany, nie był on przecież konspirowany i autor jego nie odczuł żadnych przykrych konsekwencyj. Czy odczuł przyjemne, nie znalazłem w prasie informacyj, ale oczywiście wykluczone to nie jest.

Bohater Czechowa jest marniutkim człowieczkiem, ale nasz inspektor musiałby mu stanowczo dać fory w wyścigu służalstwa. Bo najpierw tamten nie był wychowawcą młodzieży, czuł i działał wyłącznie za siebie, gdy ten daje przykład lokajstwa zarówno podwładnym, jak i dziatwie szkolnej; no i bądź co bądź mieliśmy do licha niejakie ambicje należenia do zachodniej kultury. Może teraz ktoś powiedzieć, że wygórowane.

Nie tak znów dawno, bo jakie dziesięć, czy jedenaście lat temu widzieliśmy, jak na zjeździe nauczycieli szkół powszechnych, a więc funkcjonarjuszy państwowych bardzo pożytecznych, lecz zajmujących skromne miejsce w hierarchji urzędniczej, przywitano ministra oświaty, a więc najwyższego przełożonego tej kategorji urzędników, okrzykami nietylko wrogiemi, lecz wprost obelżywemi. A oprócz rangi miał ten minister wybitne i cenione w nauce nazwisko, a za sobą wiele lat pracy w służbie narodu. Jakiż wniosek należy wysnuć z zestawienia tych dwu faktów? Chyba tylko ten, że chamstwo szybko jedzie i wypływa na wierzch, jak ta oliwa, we wszystkich konjukturach, chociaż w różnych formach.

Oprócz winszujących są też oczywiście i solenizanci i oni bardziej zasługują na cierpkie uwagi, niż wszelkiego rodzaju drobiazg. Niech więc sobie przeczytają następującą powiastkę. W biurach rosyjskich (trudno udawać się po analogje gdzieindziej w takich sprawach) zdarzało się, że woźny, roznoszący herbatę, postawiwszy pewnego dnia tacę na biurku, wyprostowywał się i mówił:

— Pozwólcie, Wasze Błahorodje, Wam powinszować: dziś m o j e imieniny!

Tak zaapostrofowany czynownik uśmiechał się i woźny otrzymywał życzenia wraz z datkiem, odpowiadającym stopie życiowej danego biura.

Herbata przywędrowała do naszych biur w postaci niezmienionej, natomiast formułę owego woźnego przyswoili sobie, jak się zdaje, wyżsi przełożeni. Przyjmują powinszowania, a co do datków, to zastępują je t. zw. prezenty, na które zbiera się dobrowolne, a częste składki.

Analogja nie jest pochlebna, przyznaję, ale zdaje mi się, że jest trafna.

ARGUS

# NA MARGINESIE

Nadesłano nam komunikat, zawiadamiający o ukazaniu się książki pamiątkowej, wydanej pod protektoratem Akademji Literatury, p. t. „Be-be-chy”. Oto ważniejsze prace tam zamieszczone:

Wojciech R o s t w o r o w s k i: *Sans-savon*'izm, jako kierunek rozwoju (j)elitarnego warstw przodujących w społeczeństwie.

Stanisław C a r: Jak zostałem imperatorem. [*Sic!* Miało być „interpretatorem”. Ach, te stenotypistki!].

M. H a n d e l s m a n n, prof. Uniw.: Sto procent czy *numerus clausus*. Kartka z dziejów obskurantyzmu polskiego.

J. M u e h l s t e i n J. E.: Zbrodnia historjozoficzna Sobieskiego. Głos patrjoty polskiego.

Janusz J ę d r z e j e w i c z: *Kultur-Kampf* sanacyjny jako system rozbudowy kultury wogóle i ewentualnie. Obserwacje z loży.

J. K a d e n - B a n d r o w s k i: Sieroszewski i ja. Dlaczego nie umarliśmy teraz? Z powodu: nieśmiertelność.

J. B y s t r o ń: Przymus rytualnego obrzezania jako środek asymilacji i zwalczania megalomanji narodowej. Kartka z dziejów kultury.

*

O ile współczesna twórczość dramatyczna nie przedstawia dla dyrekcji Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej większych trudności w układaniu linji repertuaru, któraby odpowiadała jej tendencjom ideologicznym, to z t. zw. wielkim repertuarem jest nieco kłopotu. A przecież trudno— dawać go trzeba — wszyscy bowiem łakną prawdziwej sztuki.

Wystawiono „Dziady”. Publiczność słucha i odczuwa, jak szczerze odczuwa... Wystawiono „Intrygę i miłość”—publiczność tylko nadsłuchuje, czy gdzie znienacka nie usłyszy pełnego powagi głosu: „Przedstawienie r o z w i ą z u j ę!”... Wystawiono „Wyzwolenie”—przemawia wbrew intencji, szerzy nawet mit czystej krwi. Nieskonfiskowano?

Nie mówimy już o „Judaszu”...

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM